

Saga

moja Polska



Saga **moja Polska**

Kraków 2014



www.villa.org.pl

www.saga.villa.org.pl

Znajdź nas na www.facebook.com/WillaDecjusza

od redakcji

Przed Państwem kolejna publikacja podsumowująca czwartą już edycję projektu „SAGA – warsztaty kreatywności”, którego inicjatorem i realizatorem jest Stowarzyszenie Willa Decjusza w Krakowie. Prezentowane wydawnictwo to zbiór tekstów osób po 55 roku życia, którzy potencjał swojego wolnego czasu postanowili wykorzystać na literacką przygodę.

Nasza edytorska ingerencja w prezentowane teksty jest niewielka i ma charakter jedynie porządkujący. Wybrane prace cenimy nie za stylistyczną poprawność i składniową perfekcję, ale przede wszystkim za szczerość i głębię przekazu.

Prezentowany zbiór to wybór tekstów, w których najwartościowszy jest dystans autorów i autorek do otaczającej rzeczywistości, siebie samych oraz do doświadczenia starości. Autorom nie brakuje poczucia humoru, samokrytycyzmu i pisarskiego talentu - niepotwierzonego wprawdzie żadnymi statuetkami czy przychylnością krytyki.

Publikacja składa się z dwóch części. Pierwsza z nich to teksty nagrodzone i wyróżnione w konkursie literackim pt. „SAGA – moja Polska”. Nadesłane prace składają się na obraz „Polski 55 plus”, obraz pozbawiony politycznych uniesień, biało-czerwonej retoryki i martyrologicznych kontekstów. W ujęciu autorów Polska to kraj, w którym rozgrywa się przede wszystkim „polityka codzienności” i ta angażuje bardziej niż strumień informacji wylewających się każdego dnia z telewizyjnego czy radiowego odbiornika.

Druga część publikacji to literackie różności – opowiadania, fragmenty dzienników, zakrojonych na większą miarę powieści, ale również gry z literacką formą, limeryki i wiersze. Autorzy tekstów dzielą się z nami przejmującymi opowieściami o coraz mniej osiągalnej przeszłości, spostrzeżeniami dotyczącymi tego co tu i teraz, jak również próbują zbudować mniej lub bardziej prawdopodobny obraz przyszłości. Czasem to precyzyjnie budowana literacka fikcja, która wciąż bawi i wzrusza. Innym razem szczere wyznanie pozbawione retorycznych trików i stylistycznych fortetów.

Składamy gorące podziękowania Katarzynie Kubisiowskiej i Michałowi Olszewskiemu za ich merytoryczne wsparcie, nieograniczoną niczym wyobraźnię, umiejętność motywowania i prowokowania dyskusji na wiele różnych, często niewygodnych tematów, a także za niezwykle zaangażowanie w prowadzenie warsztatów.

Za współpracę redakcyjną dziękujemy Urszuli Ciesielskiej-Chmielewskiej - uczestniczce SAGI, której pomoc była dla nas nieoceniona przy pracy nad redakcją niniejszej publikacji.

Wszystkim uczestnikom i uczestniczkom SAGI serdecznie gratulujemy ukończenia kursów, niemającej motywacji i entuzjazmu, z którego staramy się czerpać garściami planując kolejne działania projektowe. Dziękujemy za obecność, dobre słowo, budujące opowieści, a także kawałki pysznego ciasta, które czekały na naszych biurkach i zapach kawy w środowe przedpołudnie unoszący się na pierwszym piętrze w Willi Decjusza... Więcej tekstów uczestników projektu „SAGA – warsztaty kreatywności” można odnaleźć na stronie www.saga.villa.org.pl.

Życzymy udanej lektury.

Magda Jasińska
Marcin Dyrz



PRACE KONKURSOWE





Antonina Sebesta

I miejsce w konkursie

**Za pazur publicystyczny, jasność widzenia spraw złożonych,
emocjonalne zaangażowanie wolne od sentymentalizmu.**

Kłopot z demokracją, kłopot z edukacją*

„Moja Polska” żyje od pierwszego do pierwszego, jeździ przeładowanym busem w godzinach szczytu, chodzi na piechotę. Czasem czeka w długich kolejkach na odległe terminy i refundację w NFZ, najczęściej jednak oszczędzając na czym tylko się da (rekreacja, kultura, wygląd), lecz się w prywatnych gabinetach. Dla rozrywki a czasem i z konieczności „poluje” na okazje w sklepach z używaną odzieżą, regularnie buszuje w „taniej książce”. Jest to moja Polska, kraj „umarłej klasy” inteligencji, która miała aspiracje, aby bywać w galeriach, które nie są handlowe, w salonach, które nie są samochodowe ani fryzjerskie. Rozmawiać o kulturalnych nowościach, a nie recytować kursy dolara i euro, ceny pobytu na Bali oraz czytać nie tylko dzieciom, ale przede wszystkim sobie.

Polska ta dla moich dzieci okazała się zbyt ciasna i bardzo nieatrakcyjna. Są jak dzikie gęsi, które wyfrunęły z gniazda i co najbardziej bolesne, nie planują wysiadania młodych, upajając się wysokim lotem, konsumują przestrzeń. Jeżeli doczekam wnuków, na pewno nie będą one Polakami, co odbieram jako osobistą porażkę. Kraje rozwiniętego kapitalizmu oczarowały moje dzieci przede wszystkim wzajemnym zaufaniem mieszkańców, optymizmem, tolerancją, luzem. Starszej córce marzy się Nowa Zelandia, gdzie przepracowała jako pilot turystyki aktywnej (biuro amerykańskie) już dwa sezony. Aktualnie jest na Islandii, która fascynowała ją surową przyrodą od liceum.

Wierzyłam, jak się okazało bardzo naiwnie, że RP będzie miała wyłącznie ludzką twarz, a solidarności sumień nie zastąpi tak szybko i na tak dużą skalę solidarność kieszeni. Mury, o których śpiewał Jacek Kaczmarski, wprawdzie runęły, ale szybko postawiono, przynajmniej u mnie na prowincji, nowe, potężniejsze o wszechobecną hipokryzję. Ponieważ

jako państwo (zabory) nie przerobiliśmy wczesnej fazy kapitalizmu, gubimy się. Fundujemy sobie, zresztą najczęściej na własne życzenie, neofeudalizm.

W gminach i powiatach demokracja została zawłaszczona przez tzw. przedsiębiorczych, którym nie po drodze z próbami budowy społeczeństwa obywatelskiego, np. organizacjami pozarządowymi, stowarzyszeniami. Inicjatywy typu „obywatele decydują”, „obywatelska inicjatywa ustawodawcza” budzą ich paniczny lęk: *Nikt nam tu nie będzie radził co mamy robić, od tego jesteśmy władzą, aby wiedzieć lepiej.*

Wzniesiony za naszym przyzwoleniem zamek władzy oddziela od poddanych bardzo głęboka fosa. Most zwodzony opada na krótko z okazji kampanii wyborczej. Wtedy to rusza uroczysta procesja z darami, nożyczki przecinają wstęgi, otwiera się wszystko, co można otworzyć: od dróg i mostków po boiska, ronda, odsłania tablice i obeliski. Lud zapraszany jest na pikniki i biesiady, dzwonią kufle piwa, w powietrzu pachnie grill – narodowa dyscyplina, jego wyrafinowana dramaturgia już dawno pobiła tę ze stadionów piłkarskich.

Nie ulega wątpliwości, iż to codziennie partykularne decyzje samorządowców generują w znacznym stopniu bezrobocie i emigrację młodych, szczególnie tych najzdolniejszych, najaktywniejszych ze stacjonarnymi dyplomami wiodących uczelni. Nie ma dla nich miejsca, bo są za dobrzy, stanowią więc potencjalne zagrożenie dla lokalnych notabli i ich pupilków. Władza dla uwiarygodnienia swoich kompetencji sprowadza uczelnie wyższe, które w zamiejscowych punktach edukacyjnych produkują dyplomy dla niej i jej dworzan. Na lokalnym (zbyt małym) rynku pracy faworyzuje się „swoich” studentów, wierząc, że wprawdzie są mierni, ale okażą się wierni. W ten to sposób pograżamy się w chocholim tańcu.

Uczelnie produkują taśmowo dyplomy na niespotykaną w świecie skalę. Są kierunki studiów płatnych, gdzie z zasady nie wpisuje się ocen niedostatecznych. To one otrzymują ministerialne wyróżnienia za szczególnie wysoki poziom nauczania! Z programu studiów jako pierwszą wyrzuca się logikę, następnie filozofię, elementy prawa. Wszystko co jest zbyt trudne, czyli to, co wymaga myślenia, wyobraźni, zdolności kojarzenia. Dorobek naukowy liczy się na strony, czyli ilość zadrukowanego papieru (Rozporządzenie MNiSW z dnia 13 lipca 2012)...

Z tzw. humanistyki zrobiono sklep z używaną odzieżą na kilogramy. Produkuje się arkusze wydawnicze, liczy znaki bez spacji i ze spacjami, bo inaczej nie zaliczą dorobku. Recenzje pisane przez samodzielnych pracowników mogą być dobre czy nawet bardzo dobre, ale gdy zabraknie przysłowiowej linijki, nie otrzymuje się punktów. Książki są nie po to, aby je czytano (poza bardzo wąskim gronem zainteresowanych), ale żeby umożliwiły awans. Dlatego autorzy tak produkowanych pozycji są szalenie spięci, poważni i smutni. Wiedzą doskonale, że lektura pracy naukowej winna przede wszystkim budzić z drzemki dogmatycznej, jak to genialnie zauważył Immanuel Kant, proponować co najmniej nowy punkt widzenia czy formułować pytania, a nie utrzymywać w śpiączce farmakologicznej.

I tak tramwaj zwany nauką jedzie, nie bardzo można wsiąść, nie ma dokąd, jest ściana bezrobocia, nieliczni wyskoczą w biegu, widząc napis polityka czy rzadziej biznes. Gros jest skazanych na bycie pasażerami, jak w chorobach autoimmunologicznych atakować będą samych siebie. Podgryzać się, znaczyć teren, oczekiwać jak psy w przepelnionym schronisku.

Najgorsze jest to, iż masowo edukowani nie zdają sobie sprawy, że jeszcze nie tak dawno, aby zdać egzamin, trzeba było wiele godzin przesiedzieć nad książką, przewertować liczne czasopisma w bibliotece, czasem coś samemu przetłumaczyć. Szukało się specjalistycznej literatury, a nie otrzymywało fragmenty skryptu od wykładowcy pocztą elektroniczną z prośbą o łaskawe zapoznanie się z treścią. Nie cenią wiedzy, bo trudno cenić coś, czego się nie zna. Nie mają szacunku do tych, którzy jej szukają. Nie potrafią zrozumieć, że można mieć pasje, które nie są wymierne materialnie. Tracić czas na coś, co nie przyniesie dochodu przekładanego na najnowsze modele samochodów czy sprzętu elektronicznego.

W „Empikach”, tych sanktuariach komercyjnej kultury, za dwie kartki czy torbę na upominki płacimy tyle, co za egzemplarz branżowego czasopisma. Przeciętny poeta zarobi na egzemplarzu tomiku mniej niż osoba, która go sprzedaje czy przewozi z hurtowni do księgarni. Koszty utrzymania sklepu i transportu są przecież bardziej wymierne niż talent. Od wieków zresztą wszelkiej maści artyści przymierali z głodu, a kiedy wreszcie zakończyli życie, na handlu ich dziełami dorabiano się fortun. Znam małżeństwo naukowców – on profesor belwederski, ona po habilitacji, którzy byli bardzo szczęśliwi, gdy wydawnictwo nie zażądało pieniędzy za wydanie ich nowatorskiego podręcznika, dostali dziesięć egzemplarzy gratis!

* Tytuł świadomie nawiązuje do tytułu książki Henryka Elzenberga „Kłopot z istnieniem. Aforyzmy w porządku czasu”.





Krzysztof Piekarski

Wyróżnienie w konkursie

**Za pokazanie, że historia jednej rodziny
jest jednocześnie historią całej Polski.**

Karol senior, Karol junior

[fragment wspomnień]

Wuj Karol zrobił maturę w Gimnazjum Sobieskiego w Krakowie i zdążył zaliczyć rok podchorążówki piechoty we Lwowie, zanim zagarnęła go wojna. Najciekawszy, tajemniczy i bardzo lubiany brat mamy. Tuż po wojnie, jeszcze zanim się urodziłem, opuścił dom rodzinny i tkwił gdzieś tam na tym swoim „zachodzie”; tu był wyczekiwany przez ciągnące się w czyżyńskiej codzienności dni i miesiące. Raz, dwa razy w roku wpadał na parę dni, dlatego ciągle pytałem mamę: – Kiedy przyjedzie wujek Lolek?

Lolek nie wrócił z wojny 1939 roku. Jako kapral podchorąży wyjechał w sierpniu do swojej podchorążówki we Lwowie i przepadł. Wrócił dopiero na wiosnę 1940, akurat w czasie gdy jego przełożeni prawdopodobnie ginęli w Katyniu. Wiecznie zapracowana babcia Katarzyna, jego mama, brała mnie wieczorami na kolana i kiwając się rytmicznie ze mną w ramionach, opowiadała o tym, jak go poszukiwała jesienią 1939. Pamiętam przytulne ciepło jej ciała i głos tuż nad moim uchem, jeszcze ciągle pełen emocji; minęło przecież ledwo kilkanaście lat. Ja miałem kilka. Głos babci wydobywał z mojej wyobraźni obrazy nigdy niewidziane, zbudowane jej opowieścią. Zagnieździły się w mojej pamięci i mogę je teraz bez wysiłku przywołać. Moje najwcześniejsze wspomnienia, jeszcze sprzed narodzin, są starsze ode mnie o kilkanaście lat. Widzę więc babcinę w kwietniu 1940 siedzącą w oknie domu swojej siostry Wiktorii Żelazkowej, stojącego do dziś przy drodze z Krakowa do wtedy Mogiły, a dziś Nowej Huty, obok starego austriackiego fortu, zamienionego z czasem w Park Lotników. Babcia przyszła do starszej siostry wypłakać się nad nieznanym losem

swojego Lolka. Minęło osiem miesięcy, jak opuścił dom. Wojna się skończyła. Polska, podobnie jak w ich dzieciństwie, znów nie istnieje, a trwała ledwie 20 lat. Żyją teraz w Generalnym Gubernatorstwie, tyle że w dzieciństwie rządził lubiański Cesarz Franciszek, a teraz hitlerowiec Hans Frank; a i władze Rzeczypospolitej nie popisały się we wrześniu dając drapakę do Rumunii. „Siedzą zryczane” przy oknie i widzą idącego drogą żołnierza w resztkach munduru. Babcia zrywa się i biegnie.

– Zapytam go, może spotkał gdzieś Lolka – Nieznajomy, nierozpoznany żołnierz okazał się być zmienionym nie do poznania Lolkiem. Słyszałem tę opowieść z ust babci wielokrotnie i za każdym razem, gdy stawała w swym opowiadaniu przed tym nieznanym żołnierzem mówiącym do niej: Mamo, to ja, Lolek... – Głos jej się tamał i ocierała oczy.

Pamiętam też ten wrześniowy ranek 1939 roku. Ogłuszający warkot przelatujących nisko nad domem samolotów, jakiś inny niż zwykle, nigdy nie słyszany w Czyżynach mimo nieodległego lotniska, wypędza babcię z domu. Przestraszone oczy sąsiadów, jak ona wywabionych hałasem, łoskot wybuchów i ryk wznoszących się stromo w górę samolotów. Niemcy zbombardowali stację kolejową i lotnisko. Rozpoczęła się prorokowana przez czyżyńskich pesymistów wojna z Niemcami. Zaraz potem widzę oczami babci wóz zaprzężony w dwa konie pędzący ulicą Centralną. Na wozie wymoszczonym słomą znajoma kobieta mieszkająca niedaleko stacji PKP, skrwawiona, nieprzytomna; pamiętam staruszkę kuśtykającą po Czyżynach na drewnianym szczudle zakończonym gumowym krążkiem. Teraz kiedy o niej piszę przypomina mi się jej nazwisko – Wawrowska.

Mija kilka dni i widzę babcię uciekającą z trójką dzieci, objuczoną tobołem pościeli; zabrała z domu w panice ucieczki – Idą Niemcy! – to, co jej się wydawało najcenniejsze z tego, co dało się wziąć ze sobą w drogę. Daleko nie uszli. Kiedy obudzili się następnego dnia rano w przygodnej stodole, ujrzeni, że na drodze miejsce uciekinierów takich jak oni zajęli żołnierze w obcych mundurach. Kilka wsi za Mogiłą, w Pleszowie, a może w Ruszczy dogonili i przegonili ich Niemcy na swoich motocyklach i innych po raz pierwszy widzianych pojazdach. Nie było już gdzie uciekać. Trzeba było wracać. – Przynajmniej do domu było niedaleko. – Po powrocie mama usiadła na schodach domu i rozpłakała się. Obok przysiadł niemiecki żołnierz w motocyklowych okularach opuszczonych na szyję, wyjął tabliczkę czekolady, pogłaskał mamę po głowie. Wojna przez moment pokazała inne oblicze i zagościła w Czyżynach na dobre. A raczej na złe. Ulicę Centralną tarasowała zmotoryzowana kolumna niemieckiego wojska.

No i zniknął gdzieś ojciec. Podziwiany przeze mnie dziadek werkmistrz Karol Górecki senior. Opuszczali dom w panice, ojciec był w pracy w „Monopolu”, jak mówili wszyscy w Czyżynach o zbudowanej opodal przy drodze do Mogiły fabryce produkującej tytoń i papierosy. Kiedy zaalarmowany wrócił do pustego domu, pognął za nimi. W zapale pogoni szybko ich wyprzedził i nie wiedzieć czemu zagarnięty falą uchodźców, czy z jakiegoś innego powodu – dziadek był milczkiem – podobno opamiętał się dopiero w Rawie Ruskiej. On nie miał już do domu tak blisko jak żona z dziećmi. Googluję: Rawa Ruska – wschodnie Roztocze, już za Bugiem, dziś w granicach Ukrainy. Nigdy nie usłyszałem w rodzinnych przekazach wytłumaczenia, co dziadka tak gnało. Strach? Panika? A może była to rodzinna, a może tylko dziadkowa tajem-

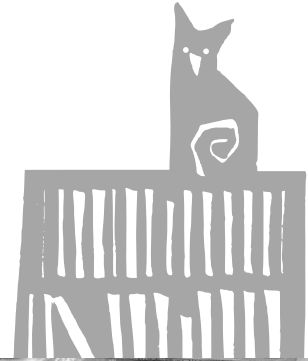
nica? Już się tego nie dowiem. Miał wtedy 56 lat. Ożenił się 24 lata wcześniej z młodszą o 16 lat wiejską dziewczyną, córką czyżyńskiego kmiecia. Był najmłodszym dzieckiem w swojej rodzinie, miał pięć starszych siostr. Nie wiem, gdzie i jak zdobył swoje werkmistrzowskie wykształcenie. Był milczkiem i niewiele o sobie mówił.

Mieli z Katarzyną czworo dzieci dorastających w chwili wybuchu wojny. Wszystkie dzieci łącznie z moją mamą otrzymały wykształcenie lub jeszcze się kształciły. Może wtedy, podczas wielkiej ucieczki, kiedy nie odnalazł w uciekającym tłumie żony i dzieci, kiedy został sam, poczuł się zmęczony rodziną; może po utracie z nią kontaktu poczuł wolność; może spotkał w drodze kobietę swojego życia i postanowił z nią stawić czoło wojennej zawierusze. Może uznał, że to ostatni dzwonek, aby przeżyć wielki romans, na który zabrakło miejsca w mozolnym życiu toczącym się na zadupiu.

Dość, że odnalazł się dopiero po jakimś czasie, wracając do wybudowanego przez siebie domu, splotzonych dzieci i drzew posadzonych w ogrodzie. Był werkmistrzem, dziś powiedzielibyśmy mechanikiem. Ale powiedzieć o moim dziadku Karolu Góreckim mechanik, to nic nie powiedzieć. Zanim wybudował z babcią dom przy ulicy Centralnej, żyli z czwórką dzieci w tartaku w Trzebini, gdzie dziadek nadzorował wszystkie urządzenia tartaczne: od kotła parowego lokomobili, przez traki, szlifierki do ostrzenia pił, po kolejkę wożącą drewno na skład. Właścicielem tartaku był Żyd, o którym babcia mówiła „pocziwe Żydzisko”, bo kiedy dziadek zachorował, jak się okazało „na suchoty”, „pocziwe Żydzisko” leczyło go na własny koszt, wysyłając do sanatorium w Zakopanem. Pocziwość właściciela tartaku musiała być duża, bo wkrótce potem zbankrutował i cała rodzina z chorym ojcem musiała wracać na stare śmieci do Czyżyn – rodzinnej wsi babci. Wtedy właśnie za zarobione przez dziadka w trzebińskim tartaku pieniądze zbudowali dom przy ulicy Centralnej 71.

O tartaku napiszę przy okazji wspomnienia mamy, bo od niej wiem najwięcej o ich życiu w Trzebini. Teraz dalej o dziadku Karolu.

Dziadek potrafił naprawić wszystko, zaprojektować i zbudować każdy użyteczny sprzęt. W czasach powojennej biedy i niedoboru wszystkiego nasz dom pełen był „sprzętu zmechanizowanego” wykonanego rękami dziadka. Wszystkie moje najważniejsze wtedy zabawki wykonał dla mnie dziadek: koń na biegunach z ogonem z prawdziwego końskiego włosia i „złotymi” strzemionami (tego konia trochę się bałem, miał takie niepokojące spojrzenie), huśtawkę, w której mogło się huśtać dwoje dzieci jak w tych odpustowych, siedząc naprzeciwko siebie, rower na trzech kółkach z niebieskim ceratowym siodełkiem, jakiego nie miało żadne czyżyńskie dziecko. Ale najwspanialsze dziadkowe zabawki były w warsztacie zlokalizowanym na domowym strychu. Na tym strychu pod okiem dziadka, rozpoczęła się moja zawodowa kariera: przy prawdziwym stolarskim stole z drewnianym imadłem, wśród hebli, pił i piłek, dłut i dłutek, wiertel i ręcznej wiertarki z korbką, którą do dziś przechowuję w mojej firmie na honorowym miejscu.





Jędrzej Wojtakowski

**Wyróżnienie w konkursie
Za stylistyczną sprawność i dynamikę opowieści.**

Moja Polska

Bywa, że najciemniej jest pod latarnią. Bywa, że po omacku szukamy tego, co jest w zasięgu ręki i nie znajdujemy. Trzeba czasem wielkiej tęsknoty, by jej przedmiot nabrał prawdziwej wartości i sensu. Tęsknotą jest oddalenie w czasie i przestrzeni, owa bezsilność i brak. Ileż razy przemierzamy znajome ulice, mijamy kościoły i place zalane słońcem i wypełnione szelestem gołębic skrzydeł, nie zauważając poezji tych miejsc. Wzruszamy się słuchając muzyki Chopina, ale chłoniemy ją jak powietrze, którego nam nie brakuje, którego mamy pod dostatkiem. Wystarczy przejść się po lesie, szczególnie po deszczu lub wyjść na pola i wyteżyc słuch. Tę muzykę słycać wszędzie, ona nam gra w duszy. Czy zastanawiamy się nad wyjątkowością popołudniowego spaceru do Łazienek w niedzielę, kiedy pod pomnikiem zbiera się tłum, by posłuchać eleganckiej muzyki i popatrzeć jak wierzba, pod którą siedzi kompozytor, faluje na wietrze w takt ulotnych mazurków? To jest prawie nabożeństwo odprawiane wśród pól, część naszego życia jak praca i wypoczynek, radości i smutki, pory roku i zmiany pogody.

Dlaczego wśród publiczności niedzielnego koncertu tak wielu jest turystów z Azji, a szczególnie z Japonii? Jeśli odwiedzają Europę, żelazny punkt programu stanowi ten park i ten koncert? Co sprawia, że pielgrzymują do miejsc, które wydały Chopina? Może to podobieństwo do delikatnej muzyki ich kraju, zamiłowanie i tęsknota za światem subtelności i wyrafinowanej elegancji, a jednocześnie prostoty i wdzięku? A może po prostu pochylenie czoła przed geniuszem? Jakąż dumą napawa nas ten obrazek japońskich turystów pielgrzymujących do ojczyzny wielkiego kompozytora – nas, dla których jego muzyka jest jak chleb powszedni. Czy pytamy siebie: za co kocham Chopina? Nie ma takiej potrzeby, to proste – bo jestem Polakiem. Gdyby odebrano nam jego muzykę, odebrano by nam kawałek ojczyzny. „Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, / Kto cię stracił”.

W pewnym okresie mojego życia znalazłem się bardzo daleko. Wyjeżdżałem ze świadomością, że nieprędko wrócę. Może nie zdawałem sobie sprawy, że zamykam jakiś etap w życiu, choć czułem to instynktownie, kiedy przekraczałem granicę na lotnisku. Doznałem wtedy czegoś na kształt strachu, podświadomie obawiając się zadań, jakie przede mną stanęły. Życie w zgoła odmiennych warunkach kulturowych i klimatycznych, obcowanie z ludźmi o innej mentalności i zapatrywaniach wymogło zrewidowania, a nawet zmiany wielu postaw wobec życia, ludzi i samego siebie. Polska w moim sercu doznała też metamorfozy. To wszystko nagle tam na lotnisku stanęło przed moimi oczami i wywołało lęk, a jednocześnie podniecenie. Było oczywiście smutno bo opuszczałem kraj i bliskich, wiedziałem, że przyjdzie tęsknota, ale nie było odwrotu. Chciałem tego wyjazdu, był czymś oczywistym i ważnym ze względów zawodowych. Potrzebowałem go, choć wtedy jeszcze nie wiedziałem dlaczego, przynajmniej nie do końca. Nagle wiatr powiał w żaglach, zaczęła się największa przygoda mojego życia: wyjazd do kraju moich marzeń, który zmienił moje życie. Nie cofnąłbym czasu i tej podróży, choć przyszło mi za nią drogo zapłacić.

W Bombaju wylądowałem, kiedy deszcze monsunowe miały się już ku końcowi, choć niezupełnie jeszcze opuściły subkontynent. Nagle wszystko było inne: wilgotny upał i nieznany zapach przenikający do ciała wszystkimi możliwymi otworami.

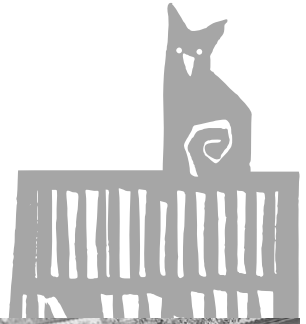
– Tak pachną Indie – pomyślałem – starając się równocześnie określić naturę tego zapachu. Może zapach słonego morza i ryb, może tak pachniała ziemia, może mieszały się kadzidła z licznych świątyń ze smażonymi na wolnym powietrzu potrawami obficie przyprawianymi ziołami, cynamonem i kardamonem, może wszystko naraz. Ludzie wydawali się pozbawieni pewności siebie. Uprzejmie kręcili głowami, jakby chcieli powiedzieć, że są przyjaźnie nastawieni i nie mają złych zamiarów. Zwracali na siebie uwagę, rozmawiali ze sobą, sprawiając wrażenie poufałości, zaglądali sobie głęboko w oczy. Poza tym byli piękni, nawet kiedy widziałem ich na tle wołających do nieba swoja nędzą slumsów czy tych, które mijalem jadąc samochodem z lotniska do centrum miasta.

Po kilku tygodniach przestałem dostrzegać urodę slumsów Indii, moje nozdrza straciły wrażliwość, bo nie czułem już tego zapachu. Kurz, upał, słodczy owoców i upajający zapach kwiatów drzewa frangipani i tuberozy, gwar ulicy wypełnionej dźwięcznymi klaksonami aut i wszechobecną muzyką filmową rozlegającą się ze wszystkich okien, restauracji i sklepów oraz cisza na wzgórzach opodal miejsca mojego zamieszkania – to wszystko stało się nagle moim domem. Prażące słońce i gorący wiatr w palmowych gałęziach intensyfikowały funkcje życiowe i zmysły. Życie osiągnęło jakby inny, pełny wymiar. Nie mogłem obojętnie przejść obok brzydoty i ubóstwa, piękno nie było ucieczką. Wszystko mieszało się i stanowiło jedną całość w swej wielokrotności. Jakże jednostronnym wydawało mi się życie w kraju, jakże podporządkowanym jednej zasadzie tak zwanej normalności. Przekonałem się, że ulice wcale nie muszą być czyste, że wszystkie psy i koty nie muszą mieć właścicieli, że pociągi nie muszą przyjeżdżać punktualnie, by ludzie byli szczęśliwi i brali życie takim, jakie jest. W maju upały były nie do wytrzymania, ale nikt nie chował się w zaciemnionych wnętrzach. Ulica żyła jak zwykle, wieczorami wypełniały się kawiarnie i restauracje, uliczne stragany, na których przygotowywano posiłki spożywane przy świetle karbidowych lamp. Owszem, słyszało się tu i ówdzie narze-

kania, ale nadzieją były deszcze monsunowe i pierwsze owoce mango pojawiające się tuż przed monsunem. To zupełnie jak pierwsze truskawki wczesnym latem. Jakże ja wtedy lubiłem truskawki, których tam nie można było kupić. Do dziś to mój ulubiony owoc.

Przyszła kiedyś bezsenna noc. Siedziałem przed otwartym oknem. Padał ulewny deszcz, pachniało mokrą ziemią. Ogarnął mnie smutek tropików. Nie mogłem wyjść z domu. Świat nagle stał się obcy i nieprzyjazny. Potęga natury i błogosławieństwo w postaci ogromnych ilości wody wracającej życie wysuszonej ziemi przynosiła raczej przerażenie niż nadzieję. Czułem się bezsilny i zagubiony. Włączyłem radio. Lokalne stacje nadawały piosenki w wykonaniu legendarnej pieśniarki Laly. Nie miałem ochoty ich słuchać. Były wszechobecne o każdej porze dnia i nocy. Zacząłem szukać innych stacji. Odezwało się radio z Hongkongu. Ktoś coś mówił i już miałem szukać dalej, gdy nagle zabrzmiała muzyka Chopina. Nie dowierzałem własnym uszom, zaskoczyła mnie w tej tropikalnej ulewie i w ciemnościach. Szybko zmieszała się z szumem deszczu, który nie przeszkadzał, o dziwo, w jej odbiorze. Ogarnęła mnie dziwna muzyka – tropikalna i Chopin. Siedziałem przy oknie i nie byłem w stanie wykonać najmniejszego ruchu pragnąc, by ta chwila nigdy się nie skończyła.

Wróciła do mnie Polska.





Konrad Zbrożek

Wyróżnienie w konkursie

Przed wszystkim za odwagę w podjęciu trudnej tematyki.

Gdzie ja żyję?

Relacjonowałem przed około 10-ciu laty Jego proces. Odbywał się w prowincjonalnym, mazurskim sądzie. Prokurator białostockiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej oskarżał Go o zbrodnie przeciwko Narodowi Polskiemu. Już pierwszego dnia procesu sąd spytał oskarżonego, czy przyznaje się, że był funkcjonariuszem NKWD, a w szczególności jej specjalnej struktury noszącej nazwę SMIERSZ*.

Na korytarzu podczas przerwy w rozprawie nie udało nam się porozmawiać. Ostentacyjnie odmówiłem podania mu ręki oraz tytułowania go panem generałem. Jego córka na stronie coś mu szeptem długo wyjaśniała... Mój kolega, również dziennikarz, powiedział mi:

– Konrad, po co ci ta demonstracja? Mnie właśnie obiecał zapisanie w testamencie swych pamiętników – do dzisiaj chyba się nie ukazały, choć oskarżony nie żyje od kilku lat. Podczas giżyckiego procesu niczego mu nie udowodniono. Jedyny żyjący świadek zbrodni tego człowieka, warszawianin, kombatanant Armii Krajowej, przeszedł gehennę wieloletniej zsyłki na Syberię. Tamtejsza koma odebrała mu wzrok. Po powrocie do PRL-u osiadł w Szczecinie. I tamże udał się giżycki sąd na tzw. posiedzenie wyjazdowe, aby przesłuchać tego sędziwego inwalidę.

– Czy rozpoznaje świadek oskarżonego jako tego człowieka, który świadka aresztował latem 1945 roku w Miłkach pod Giżyckiem? – padło jedno z pytań sędziego. Świadkowi okazano fotografie przekazane IPN-owi z archiwów moskiewskiej Łubianki. Cóż, świadek nie mógł z przyczyn obiektywnych nikogo na fotografiach rozpoznać.

Zdjęcia wykonane podczas augustowskiej akcji pacyfikacyjnej w 1945 roku, a przekazane przez współczesne KGB, przedstawiały grupę żołnierzy w mundurach NKWD – pucołowatych, roześmianych, uzbrojonych Sowieców. Wśród nich według rosyjskiego opisu był i Polak – pochodzący z Lipska, nasz oskarżony.

Zamordowano wtedy, latem 1945 roku, kilkuset Polaków. Wywlekano ich z augustowskich domów i mieszkań: chłopów, rzemieślników, nauczycieli, urzędników. Tę garstkę Polaków którzy, przetrwali hekatombę II wojny światowej. W Augustowie – tym mieście niezłomnym, którego polskości skutecznie ćwierć wieku przed wybuchem II wojny światowej bronili nastoletni harcerze. Stawili heroiczny opór Litwinom korzystającym z okazji, jaką stworzył najazd sowiecki 1920 roku. Augustów pozostał w granicach Rzeczypospolitej.

W owym 1945 roku, podczas kolejnego najazdu, pakowano naszych rodaków do kolejowych kibitek i wieziono na Wschód. Funkcjonariusze SMIERSZY nie dowiedzieli wszystkich. Rosjanin dowodzący akcją wywózki dostał wreszcie od Ławrentija Berii rozkaz, o który wielokrotnie prosił. Ludzie z ostatnich transportów spoczywają dzisiaj w okolicach wsi Giby, nieopodal Suwałk...

Giżycki proces zakończył się w końcu lat 90. umorzeniem z braku dowodów. Sąd nie rozpatrywał przebiegu pracy oskarżonego w dalszych dziesięcioleciach istnienia PRL-u, ponieważ tych lat nie obejmował akt oskarżenia. A w drugiej połowie lat 70. nasz oskarżony był już szefem MSW. Jego brata, funkcjonariusza białostockiego UB, przed laty zlikwidowali prawdopodobnie żołnierze Łupaszki. Podczas jednego z posiedzeń KC PZPR, odbytego pod koniec lat 70., a poświęconego rosnącej w siłę opozycji oraz powstaniu jawnej partii politycznej, otwarcie nazywającej PRL sowiecką kolonią, a nie państwem polskim, uspokajał kolegów:

– Poradziliśmy sobie z nimi, towarzysze, w latach 40., choć byli od nas znacznie silniejsi, to i teraz sobie z nimi poradzimy – perorował wówczas minister Milewski.

Leży sobie dzisiaj nasz oskarżony w ziemi Alei Zasłużonych na Wojskowych Powązkach w Warszawie. Rokrocznie na Jego nagrobku funkcjonariusze Biura Bezpieczeństwa Narodowego w rocznicę śmierci składają Mu wieniec – „od firmy”.

* SMIERSZ lub Smiersz (ros. Главное управление контрразведки «СМЕРШ» Народного комиссариата обороны (НКО) СССР, Спецjalnyje Metody Rozobłaczenija Szpionow – Specjalne Metody Wykrywania Szpiegów, śmierć szpionom – śmierć szpiegom) – była to powszechna nazwa (akronim), stosowana w ZSRR podczas Wojny niemiecko-radzieckiej w czasie II wojny światowej wobec komórek organizacyjnych kontrwywiadu wojskowego, działającego w latach 1943-1946.



Lucyna Drelinkiewicz

I miejsce w konkursie

Za błyskotliwą, żywą narracją, świetny pomysł fabularny, umiejętność zwięzłego pokazania fragmentu losów polskich ostatnich dekad, poczucie humoru oraz za to, że nie pozbawia czytelnika nadziei...

Jutro będzie ładny dzień...

Danka dzwoni i dzwoni. Dlaczego nikt nie otwiera furtki? Ustawia się na wprost kamerki, żeby widzieli, że to ona. Wpatruje się w narożne okna deweloperskiego bloku. Tu mieszka syn z synową i małą Alą. Minęła 16, a ona w każdą niedzielę o tej porze odwiedza młodych. Powinna odwrócić się na pięcie i odejść, skoro nie otwierają. Ale nie! Nie podda się, nigdy nie rezygnowała. Tylko uporem i konsekwencją można coś osiągnąć.

Chciała być kimś, wyrwać się z rodzinnego miasteczka, zapomnieć, że jest córką sprzątaczkii. Nie była zdolna, ale jakiś krewny nieżyjącego już wówczas ojca, profesor AGH pomógł jej dostać się na studia, co wtedy, w latach 60. wcale nie było łatwe. Dniami i nocami wkuwała wiedzę, w nieskończoność poprawiała projekty, obliczenia, rysunki techniczne. Żadnych imprez, koleżanek, chłopaków. Trzeba dążyć do celu i już. Zaraz na pierwszym roku usłyszała, że o studentach jej uczelni inni z pogardą mówili „agiechamy”! Postanowiła przeczytać wszelkie dostępne w tamtych czasach poradniki *savoir-vivre*. I z wielkim poświęceniem co tydzień szła do kina, do teatru albo w niedzielny poranek do Teatru Słowackiego na operę. Niewiele rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi, ale nie rezygnowała. Chciała być przecież kobietą wykształconą, kulturalną. Studentką była raczej słabą, o asystenturze na uczelni nie mogła marzyć, ale do pracy do przedsiębiorstwa geologicznego nie chciała pójść. Co to za kariera – tyrać po osiem godzin dziennie i jeszcze tułać się po jakichś odkrywkach geologicznych. No i nadarzyła się okazja: staż na NRD-owskiej politechnice. Zaraz po obronie dyplomu wyjechała. Dziekan tamtejszego wydziału geologii, starszy od niej o jakieś 20 lat, lubił młode dziewczyny. To była dla niej szansa. Nie była zbyt urodziwa, ale okazję postanowiła wykorzystać. Hans miał

trzecią żonę, ale to mu nie przeszkadzało romansować z Danką. Szybko robiła postępy w niemieckim, a badania geologiczne u boku Hansa zaowocowały ich wspólną publikacją naukową. Hans załatwił przedłużenie stażu, a kolejna publikacja ukazała się już tylko pod nazwiskiem Danki. Z takim dorobkiem naukowym i wspaniałą opinią Wydziału Geologicznego napisaną przez Hansa wróciła do Krakowa. Etat asystencki na AGH miała zagwarantowany. Teraz trzeba było znaleźć męża i zacząć urządzać się w życiu.

– Ten Mirek może nie jest przystojny, ale spokojny, zrównoważony, niebiedny i pochodzi ze znanej krakowskiej rodziny z tradycjami, dobry materiał na męża – zwierzyła się koleżance z uczelni.

– No wiesz, wychodzić za mąż bez miłości!? – oburzyła się Marta. Przestały być koleżankami, a Danką po trzech miesiącach była w ciąży z Mirkiem. Ślub w Wawelskiej Katedrze, wesele tylko z udziałem krakowskich krewnych Mirka, bo po co pokazywać matkę sprzątaczkę i wracać do niemiłej przeszłości. Teraz była już kimś, już umiała się nienagannie zachować na spotkaniach rodzinnych i mogła poznawać ludzi z tzw. krakowskiej inteligencji. Urodził się Tomek. Zajmowała się nim głównie matka Mirka, bo Dankę pochłaniało pisanie doktoratu. Szło ciężko, ale okazało się, że dobry znajomy rodziny męża też jest geologiem i nie śmiał odmówić pomocy. Poza tym kilka razy udało się jej wyjechać do Hansa. Z NRD wracała zawsze z kolejnym rozdziałem doktoratu.

Teraz Danką stoi coraz bardziej wściekła pod tą nieszczęsną bramką osiedlową, patrzy w okna mieszkania syna. Próbowwała z komórki dzwonić do Tomka, do synowej Darii, ale nikt nie odebrał telefonu. Jak ma nie być zła, skoro nie chcą jej wpuścić! W środę zadzwoniła Daria:

– Te niedzielne wizyty mamusi trochę nam utrudniają życie. Czasem chcielibyśmy z Tomkiem wyjść do znajomych, z małą na spacer – tłumaczyła – może jakoś zmienimy ten zwyczaj – powiedziała. Danką odłożyła słuchawkę. Bezczelna baba! Jak może! Przecież wszystko zawdzięcza Dance. Do dziś byłaby Daria starą panną, gdyby nie zabieg Danki. Zapraszała wiele razy do siebie na kawę matkę Darii, znajomą rodziców Mirka. Potem były kolacyjki, już w towarzystwie Darii i Tomka. To Danką ją wybrała i sfinalizowała związek, obiecując zakup dla młodych pięknego trzy-pokojowego mieszkania. Tomek spotykał się z różnymi dziewczynami, nieodpowiednimi dla niego, z byle jakich domów, nieokrzesanymi. Ostatniej opłaciła zabieg, bo Tomek przecież nie miał pieniędzy. Wtedy postanowiła, że dość tego, że trzeba wreszcie Tomkowi ułożyć życie. Z Tomkiem od początku były kłopoty. Nie chciał się uczyć, zawałał egzaminy na studiach. Całe szczęście, że prorektorem został Danki kolega jeszcze z Solidarności (Danką w odpowiednim czasie wypisała się z partii, zaraz po habilitacji i wstąpiła do Solidarności). Tylko dzięki temu Tomek skończył zarządzanie. Pracy nie znalazł, bo... nie szukał. I znowu do akcji musiała wkroczyć Danką. Jeden z jej studentów wyemigrował do USA i tworzył właśnie w Krakowie przedstawicielstwo korporacji, którą teraz zarządza. Parę maili od dawnej profesor skłoniło amerykańskiego dyrektora do obsadzenia Tomka na stanowisku zarządzającego oddziałem w Krakowie. Bo Danką jako działaczka Solidarności szybko awansowała. Grubo przed 50-siątką została profesorem.

I teraz ona, profesor AGH stoi pod bramką upokorzona przez syna i synową. W promieniach zachodzącego słońca dostrzega lekki ruch firanki i chyba jakąś postać dyskretnie wyglądającą przez okno.

– Ja nigdy nie rezygnuję – pomyślała – zaraz wykręcę im numer. Z komórki zadzwoniła na policję: – bardzo proszę o pomoc, coś złego musiało się stać w mieszkaniu syna. Mieli być w domu, umówiliśmy się, a nikt nie otwiera – prawie łkała do telefonu. – Nie robię sobie żartów, jestem prawie 70-letnią profesor wyższej uczelni i nigdy nie żartuję!

Zrobiło się szaro, zaczął kropić deszcz. Danka postanowiła schronić się pod wielkim, starym dębem rosnącym 15 metrów dalej. Nagle zatrzymała się przerażona. Z drugiej strony grubego pnia na brudnych szmatach siedział obdarty mężczyzna. Na widok Danki odłożył butelkę i z trudem podniósł się z legowiska.

– Uprzejmie szanowną panią, kurwa, przepraszam – wybełkotał – od dawna panią obserwuję. Mąż nie chce, kurwa, do domu wpuścić, co? Pijany skurwensyn pewnie nie słyszy. Ale pani się nie martwi, ja pomogę. Po co czekać i dzwonić. Pierdolić zasrańca! Mam porządne, grube kartony naskładane za śmietnikiem. Ciemno będzie za chwilę, deszcz leje. Do rana pani jakoś, kurwa, przekima. A jutro będzie ładny dzień!

Danka wybuchnęła śmiechem, już nie pamięta kiedy tak szczerze się ubawiła. Ten bezdomny chce jej pomóc, tak sam z siebie, nie wiadomo dlaczego. A może ten menel ma rację? Może nie ma sensu tu dalej tkwić, lepiej zostawić ich, niech sobie żyją po swojemu, własnym życiem.

W wylocie ulicy zamigotało światło policyjnego radiowozu. Z drugiej strony nadjechał autobus i zatrzymał się właśnie na przystanku koło starego dębu.

– Pierdolić to wszystko – zawołała na cały głos w stronę bezdomnego i zdążyła wskoczyć do autobusu, zanim kierowca zamknął drzwi. Zdziwiona własnymi słowami, roześmiana – do tej pory zawsze elegancka, kulturalna pani profesor. Po chwili kierowca wyłączył wycieraczki na przedniej szybie. Deszcz przestawał padać.

– Jutro będzie ładny dzień – pomyślała.





Zdzisław J. Przybyło

II miejsce w konkursie

Za poważną treść zamkniętą w ironicznej, przewrotnej, nieoczywistej, trzymającej czytelnika w napięciu do ostatniego słowa formie.

Moja trochę inna Polska

Kończyłem właśnie w Photoshopie poprawiać zdjęcie na okładkę książki, gdy SzeF zajrzał do pokoju:

- Jurek musisz sobie przerwać. Jest robota na zecerni. Trzeba złożyć dla klienta „List okolicznościowy”.
- SzeFie nie można by go złożyć na komputerze?
- Nie! Przyszły Jubilat jest bardzo zasłużony. Jest znawcą druku i bibliofilem.

To ma być ręczna robota, na czerpanym papierze i ręcznie wydrukowana. Ręcznie... Klient chce pod palcami czuć ślady sita, odcisnięte oczko czcionek, a przede wszystkim czuć zapach farby...

No cóż, nie przepadałem za tymi dorywczymi pracami na zecerni, za kurzem, za rękoma ubrudzonymi ołowiem i farbą. Za dźwiganiem kolumn z ołowiu. Kto nie pracował dawniej w drukarni, nie wie, jaką wagę miało słowo drukowane. W przenośni i fizycznie. Kolumna składu, czyli jedna strona to cztery, pięć kilogramów. Gdy się przemnoży przez ilość stron... Przyzwyczaiałem się już do wygody, czystości i szybkości pracy. Ale nasz zakład na fali zmian w drukarstwie nie pozbył się zecerni... To znaczy trochę się pozbył, redukując ją do jednego pomieszczenia, paru regałów, kasz z czcionkami i małej, ręcznej prasy. Zecernię zostawiono tak trochę przez sentyment, by od czasu do czasu wykonywać drobne druki lub po prostu pokazać ciekawym gościom, jak to dawniej w drukarni pracowano.

Przebrałem się i dopinając szaroniebieski chałat powędrowałem stromymi schodami do naszej zecerni. Podwinąłem rękawy. Pomieszczenie tonęło w półmroku. Mimo dwóch okien niewiele światła docierało tu z wąskiego podwórka starej kamienicy. Zapaliłem lampy i otworzyłem okno. Świeże powietrze. Przestało kręcić w nosie. Już odzwyczałem się od wszechobecnego kurzu. Kiedyś powietrze tu nie było takie suche. Wszędzie stały kwiatki troskliwie podlewane przez zecerów. Ale uschły, umarły wraz ze starą technologią druku. Zniknęli starzy zecerzy, ich opowieści i ich kwiatki...

Rozłożyłem maszynopis i oceniłem objętość tekstu. Wybrałem czcionkę. *Baskerville* będzie w sam raz. Jest elegancka z pięknymi szeryfami. Wielkość średnia, czyli 14 punktów. – oczywiście typograficznych, większych od tych komputerowych. Decyduję się na skład kapitalikami. Format listu A3. Ustawiam na szerokość wierszownik, wysuwam kasztę i stawiam ją na regale. Obok ustawiam odpowiednio dużą szuflę. Błat regału nie jest płaski. Jest pochyły i obniża się od ściany w moim kierunku. Zaczynam skład. Lewa ręka wędruje za prawą do odpowiednich króbek z literami. Przypominam sobie rozkład kaszty, miejsce poszczególnych liter. Pierwszy wiersz złożony. Czytam czcionki w lustrzanym odbiciu. Nie ma błędu. Justuję wiersz i przykładam interlinię. Składam następny wiersz. Czytam, justuję i znowu interlinia. Szybko składam adres do Jubilata. Czcionki zapełniły wierszownik. Wiersze mają szerokość 15 kwadratów lub 60 cyfer. Kładę pełny wierszownik na regale. Wsuwam odpowiednio grube interlinie z przodu i z tyłu tekstu, obejmuję palcami blok składu. Małe palce z boku na zewnątrz, kciuki na dole od strony pierwszego wiersza, reszta palców od strony u góry, od strony ostatniego wiersza. Odwrotnie niż na wydrukowanej kartce. Ściskam równomiernie, z wycuciem, ze wszystkich stron. Przechylam skład w swoją stronę, wyciągając go z wierszownika, przenoszę nad szuflkę i ostrożnie kładę. Uff, nie rozsypało się. Zaczynam składać dalszy tekst. Po złożeniu kolejnych czterech wierszy przenoszę je tak samo na szuflkę i dokładam do poprzednich. Kolumna rośnie.

Dochodzę do życiorysu adresata „Listu”. Wynika z niego, że Jubilat był ważnym działaczem niepodległościowym, chociaż jego nazwisko nic mi nie mówi. Albo brał udział, albo miał zawsze właściwy stosunek do kluczowych wydarzeń w Polsce. Cóż, ja takiego szczęścia nie miałem albo byłem zawsze w niewłaściwym miejscu.

W „Liście” napisano: „W czerwcu 1956 roku...”

Czerwca to ja nie pamiętam, ale pamiętam ślady kul na kamienicy moich dziadków w Poznaniu, gdy ich później odwiedzałem w wakacje. Z 1956 roku bardziej pamiętam uroczystą paradę wojskową w strojach historycznych w Warszawie niż uroczystości milenijne w Gnieźnie. Nie żebym był na paradzie w Warszawie, ale pokazywano ją wtedy w Polskiej Kronice Filmowej w kinach. W kolorze...

„W roku 1968...”

No tak, rok 1968 już pamiętam lepiej. Pierwsza klasa liceum. Zima. Tłumy studentów pod Collegium Novum. I my, pierwszaki. Byliśmy tam jednak nie w świadomym geście poparcia dla braci studenckiej, a raczej dlatego, że była rozróżba. Potem był sierpień, wakacje w Mszanie i samoloty cały dzień lecące po niebie w kierunku Czechosłowacji.

„Zimą 1970 roku...”

W tym roku kończyłem pierwszy rok nauki w drukarni w zawodzie zecera. Pierwsze egzaminy. Praca i nauka. Kończę 18 lat i zaczynam zarabiać pierwsze pieniądze. W grudniu szok po krwawych ofiarach wydarzeń na Wybrzeżu. Konfrontacja oficjalnej propagandy z audycjami Wolnej Europy. Burzliwe dyskusje w domu i pracy.

„Powstanie KOR-u w 1976 roku...”

W myślach powracam do tego czasu. Związki Zawodowe nie zadziałały. Robotnicy muszą sami walczyć. My drukarze nieźle zarabiamy. Robotnicy Ursusa już nie. Propaganda miesza ludziom w głowach. Wątpliwości jednak powstają. Żyłem swoim życiem. Odkryłem wtedy góry i malarstwo. W każdy wolny czas poświęcałem wędrówkom. Poznawałem Polskę i próbowałem malować.

„W październiku 1978 roku...”

Rok dla mnie ważny. Ślub. Wyprowadzka z rodzinnego domu. Wybór Papieża...

„W gorący sierpień 1980 roku...”

W gorący sierpień 1980 roku wędrowałem z żoną po górach. Relacji z Wybrzeża słuchałem w radyjku na baterie. Skwar z nieba. Odpoczynek w cieniu wśród borówek. Stary Czorsztyn z czasów przed powstaniem jeziora. Kolorowe zdjęcie żony wykonane starym, mieszkowym aparatem na Sokolicy. Dwa światy. Tu w górach idylla. A tam na Wybrzeżu wrzący kocioł...

„Stan wojenny...”

Na chwilę przed stanem wojennym dostajemy mieszkanie spółdzielcze. Zdobywanie mebli. Żona w ciąży. Wszystko na kartki. Godziny spędzone w masarni w soboty, bo wtedy nie pracuję. Drukarni nie zamknęli. Nawet nikogo nie internowali. Dyrektor Płatek ma brata w MSW. Brata o złej sławie... Mama zaczyna działać w podziemiu. Chodzi na manifestacje. Ojciec, były oficer LWP, walczy z Mamą, ale tak jakoś bez przekonania.

„W lipcu 1983 roku zniesiono stan wojenny...”

A ja zmieniałem wtedy pracę. Zostałem linotypistą.

Jubilat z „Listu” zawsze zajmuje właściwe stanowisko, jest po właściwej stronie. Jego Polska jest trochę inna niż moja. Taka strasznie patriotyczna, katolicka i słuszna. A moja taka zwyczajna. Nauka, praca, dom, rodzina. Kariera zawodowa: zecer, linotypista, składacz komputerowy, grafik... Codzienna troska o rodzinę. Poznawanie Polski. Takie normalne życie... Kończę składać „List”. Sprawdzam dotykiem palców, czy wiersze są równo wyjustowane. Cienkim szpagatem owijam ciasno kolumnę. Zecerskim sztyletem wiążę na rogu kolumny węzeł. Gotowe.

Zabieram skład na prasę. Teraz kolumna leży całkiem płasko, obłożona ciasno ołowianymi sztabami. Ściągam sznurek i klinuję ją w prasie. Puszka z farbą. Kolor sepia będzie pięknie wyglądał na żółtawym, czerpanym papierze. Rozcieram farbę na kamieniu. Nakładam ją wałkiem na powierzchnię i kładę arkusz papieru. Na to płaską gumę, a właściwie grube linoleum, deskę i uważając, by nic się nie przesunęło, dociskam z prasę. W odwrotnej kolejności wszystko ściągamy. Gotową odbitkę na końcu. Czytam ją uważnie, porównując z maszynopisem. Błędów nie ma. Zastanawiam się. Coś mi jednak tu nie pasuje. Nazwisko jak nazwisko. Nic mi nie mówi. Zasługi i życiorys wzorowe. Za wzorowe. Ale zaraz... Gdzie ten gość właściwie pracował? Z „Listu” to nie wynika. „List” podpisany jest przez „Kolegów”.

Zanoszę odbitkę do Biura, daję Szefowi i pytam:

– Kto właściwie zamówił ten „List”? Ze wzruszeniem ramion podaje mi kartotekę zamówienia. Czytam: – Zlecenie ZBFSOP*. Bez adresu. Zapłata z góry. Odbiór zlecenia – własny.

* ZBFSOP – Związek Byłych Funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa.



Anna Marek

III miejsce w konkursie

Za trudną umiejętność unikania dosłowności, znakomity warsztat narracyjny, siłę obrazu i precyzyjny opis.

Józefa sny

Siedział ciężko sapiąc na wersalce. Był duży, jak to się mówi, kawał chłopa. Miał 67 lat. Jego brzuch opierał się miękko na kolanach. Co jakiś czas spomiędzy wąskich szparek powiek rzucał spojrzenie na ekran włączonego telewizora.

– Jeszcze wiele mogę – tak myślał o sobie – ale nie wszystko mi się chce, bo i po co.

Nie cierpiał swojego pokoju. Był wąski, brakowało mu w nim powietrza. Rozłożona wersalka zajmowała prawie całą przestrzeń. Ściany ozdabiałał proporzki, dyplomy ukończenia kursów i studiów, słowem, dokumentacja jego zawodowego życia. To była klitka najmniejsza w całym mieszkaniu i to, że jemu przeznaczona odbierał jako swoistą degradację.

Czasami potrafił obrócić ten stan rzeczy przeciw swym dręczycielom. Zamykał się tu, nie pokazywał żonie i dzieciom. Samotnie zjadał obiady rozstawiając na wąskim stoliku nakrycia i sztucce. Na wygnaniu, zdetronizowany. Budził wtedy zaniepokojenie rodziny i miał nadzieję, że wyrzuty sumienia. Dzisiaj wczesnie rano znowu rozmyślał o swoim dzieciństwie. Wracał do niego ilekroć czuł się niepotrzebny, wykluczony, a drzwi pokoju oddzielały go od świata. Nie próbował tego zmienić, zbyt rozżalony na wszystkich i na los. Czasami tylko po wypiciu paru piw wybuchał nagromadzonym gniewem.

Z rozczuleniem myślał o sobie: – Byłem taki radosny i żywiołowy. – Na starej fotografii mały chłopiec o kwadratowej sylwetce stoi z zawiedzioną miną i czeka, aż ktoś wreszcie przyjdzie i będzie mógł się z nim dzielić rozpiekającą go energią i radością. Buszował po zatęchłym podwórku, które wydzielilo z przestrzeni miasta parę starych kamienic. Wytworne podcienia sąsiadowały tu z wiecznie przepełnionymi kubłami na odpadki eleganckiej restauracji „od frontu”. Dalej stajnia, w której kiedyś trzymano dorożkarskie konie, unosił się stamtąd odór moczu i siana, a z przeciwniejszej strony pod kuchennym oknem taniej knajpy w norze popiskiwały młode szczury, to jego raj. Mama była tutaj dozorczynią, energiczna i przystojna kobieta budziła postrach wśród dzieci, miotła i mocnym głosem – on też bał się jej troszeczkę. Widzi ją, jak stoi na środku podwórka, ma na głowie chusteczkę w duże kwiaty, pod którą schowała swoje czarne warkocze. Wyklóca się o coś z chudym mężczyzną ściskającym pod pachą wytartą, skórzaną teczkę. Gestykułującemu nagle teczka wypadnie z rąk i posypią się kartki zapisane nutami, ale tego, że to były nuty, wtedy jeszcze nie wiedział. To był organista z pobliskiego klasztoru.

Myśli Józefa znowu powędrowały do chłopca, ale tym razem to nie był on, tylko jeden z tej bandy smarkaczy, od których musiał się ostatnio opędzać. Tak jak wczoraj. Siedział na ławce i spod zmrużonych powiek obserwował niby chaotyczną bieżnię paru nastolatków wokół niej. Znał ten ich zwyczaj, ten taniec z piłką w pobliżu siedzącego nieruchomo pijaka. To zwykle byli starsi mężczyźni, alkohol ich usypiał, drzemali w słońcu, stanowili łatwy łup dla grupy wyrostków. Porzucone niedbale na ławce siatki z zakupami i wysmykujące się z kieszeni portfele stawały się szybko własnością bandy. Ale z nim nie można było się tak zabawiać. Duży, ciągle jeszcze silny, nie upijał się tak łatwo, a piwo i wódka budziły w nim agresję. Chciał się wtedy bić się z całym światem, tym który się tak odmienił i wystrychnął go na dudka. Teraz czekał spokojnie, obserwując smarkaczy, zresztą tak naprawdę to zainteresował go pętający się na końcu grupki dużo młodszy od innych blondynek, z loczkami na okrągłej głowie, już trochę kanciasty, ale jeszcze pulchny w dziecięcy sposób. Jego bieganie przypominało kłusującego żrebaka. Wreszcie jeden ze starszych zbliżył się do jego ławki, a wtedy Józef otworzył oczy i spokojnie zapytał:

– Czego chcesz ? Tym pytaniem go spłoszył. Zabawa na dzisiaj skończona, muszą poszukać innej ofiary.

Spoglądając na małego, zastanawiał się, czy on też tak wyglądał, kiedy po raz pierwszy poszedł do klasztoru kalikować. To nie była łatwa praca. Zimą o szarym świcie w zimnym kościele zadyszani chłopcy deptali pedały, napełniając powietrzem piszczalki, a dźwięki unosiły się z drobinkami kurzu ku kopule, w porannym świetle. Wiele miesięcy później odkryli katakumby, a w nich mnichów opartych o ściany w zetlących habitach z długimi włosami, powiązanych pajęczyną. Wydawali mu się podobni do snopków zboża, zapomnianych jesienią na polach.

Podniósł się z wersalki, pora wstawać, a on kochał spać. Mógł wtedy ułożyć się wygodnie, zamknąć oczy, a jego duże ciało wreszcie odczuwało ulgę. Przestrzeń wokół rosła, ogromniała, już nie obijał się o meble stłoczone w wąskim przedpokoju, nie musiał stąpać ostrożnie. Jego głos huczał, dominując dziewczynskie piski i śmiechki, jego głośnie pochrapywanie i mamrotanie burzyło układność tego domu, we śnie brał odwet za to co na jawie.

Wracał w tych sennych marzeniach do swojej służby u władzy, która była dla niego zakonem. Co prawda czasami korytarze przemierzały drobnymi kroczkami chude, nerwowe sekretarki, ale kwintesencją byli oni, mężczyźni. Ci starzy w cichych gabinetach bajali o partyzantce, wrogu klasowym, ale oni młodzi czerpali radość z władzy i z tego co dookoła. Namiestnicy na powiecie. Zarządcy trzech wsi. Najwyższa instancja, do której odwoływano się w każdej znaczącej sprawie: przydziału cementu, pozwolenia na budowę kościoła, czy zwyczajnej zdrady małżeńskiej. Ale dlaczego pili? Czy dlatego, że byle chłopiec miał więcej w sobie godności niż oni i więcej gotówki? Sen zatapiał jego pytania, kołysał go, unosił ku górze, ku władzy, spadało z niego liche emeryckie ubranko i rozpozgodzony odpływał.

Dzisiaj wyszedł jak najszybciej na zakupy. Nie miał zamiaru rezygnować z roli dobrodzieja, który zaopatruje dom w rzeczy niezbędne, ale i różne drobne przyjemności. Kordialnie witał znajome panie sklepowe i opatulone szalikami straganiarki w pstrokatych ortalionowych kamizelkach. Bloki i ludzie wyłaniali się z jesiennej mgły. Już z zakupami, po paru puszkach piwa, rozleniwiony usiadł na ławce w słońcu i obserwował to, co działo się dookoła niego na osiedlowym deptaku.

Wyłowił wzrokiem wśród innych dzieci chłopca, na którego już wcześniej zwrócił uwagę, tego pulchnego blondaska. Zauważył, że on też przygląda mu się ukradkiem. Jureczek, jak się dowiedział, bardzo tęsknił za swoim dziadkiem i chciał komuś opowiedzieć o gołębiach, które były jego marzeniem. Gołębie hodował dziadek, tu niedaleko w małym parterowym domu na obrzeżach osiedla. Jureczek kochał jego i gołębie, spędzał z nimi każdą wolną chwilę. Mamy nigdy nie było w domu, chodziła sprzątać, a starsi bracia mieli go za nic. Teraz dziadek już nie żył, gołębie po jego śmierci sprzedano a dom się zawalił, zresztą na jego miejscu już dawno postawiono blok.

Stojąc przed siedzącym na ławce Józefem i przestępując nerwowo z nogi na nogę mówił szybko, połykając końcówki słów. Ta opowieść słuchana od niechcienia, z której wyławiał pojedyncze słowa, takie jak „lotnik” albo „przysiadanie” zaczęła Józefa powoli wciągać. Zrobił obok siebie miejsce i z uwagą wysłuchał planu małego chłopca, który chciał założyć hodowlę gołębi pocztowych. To były tylko marzenia, ale Józef był dorosły, miał czas i brakowało mu „sprawy”, której mógłby go poświęcić, czuł się bezużyteczny a co gorsze bez znaczenia. Podziw w oczach dziecka i zaufanie w jego siły podsunęły mu własny plan.

Wiedział, jak mógłby go zrealizować. Przypomnił sobie opuszczony, niewielki budynek fabryki makaronu. Stał wśród drzew i chaszczki zniszczony, z pustymi dziurami okien i sterczącym kominem, ale dalej przykryty dachem, w polach na krańcu osiedla. To w nim można zbudować gołębnik. Wybrał się tam następnego popołudnia. Ledwie wdrapał się aż pod dach na czwarte piętro, z trudem łapał powietrze obiecując sobie, że nieprędko się tu wybierze. Rozglądał się wokół. To była pusta hala, ze ścian obłaziła farba, okna duże, pozbawione szyb z częściowo wyrwanymi framugami. W wyobraźni już widział pod ścianami na półkach cele dla gołębi a w oknach wolierki dla młodzików.

Zastanawiał się, gdzie mógłby znaleźć deski i kątowniki i kto mógłby mu pomóc w zбиiciu i ustawieniu pótek. Całe szczęście, że jego stary wysłużony Polonez był jeszcze na chodzie. Podekscytowany tym, co planował, szybko opuścił budynek i ruszył na piwo. To wtedy przyszedł mu do głowy świetny pomysł. Jureczek opowiadał o swoich braciach, jak rozumiał Józef, bezczelnych wyrostkach, którzy potrafili zdobywać dla siebie i domu najróżniejsze rzeczy. To im powierzy „zorganizowanie” (to słowo z odległej epoki doskonale oddawało to, co zamierzał) desek, gwoździ, siatki, farb i wszystkiego, co potrzebne, a on to przewiezie na miejsce.

Nie przypuszczał, że jego pomysł napotka na ośli opór Jureczka, który chciał ich plany zachować w tajemnicy. Trochę to trwało, ale w końcu pojawili się całą trójką któregoś przedpołudnia na deptaku. Józef ustalił, że ich punktem kontaktowym będzie opuszczony ogród działkowy, to tam będzie czekał z samochodem. Na początku denerwował się, budził w nocy, chodził po mieszkaniu, przerabiając w myślach wszystkie warianty „akcji”, jak ją nazywał. Po paru wypadach do fabryczki, kiedy zorientował się, że chłopcy są zaradni i zorganizowani, stał spokojnie oparty o maskę Poloneza i czekał aż wyładują pudła z bagażnika. To raczej Jureczek z niecierpliwością kłusował wokół auta zaglądając co i raz braciom w oczy i irytując ich bezsensownymi pytaniami. Wszystko więc przebiegało tak, jak to wcześniej postanowił, teraz należało się rozejrzeć za kimś, kto potrafi zbudować klatki i woliery i wciągnąć go do współpracy. To była jego rola.

Tymczasem zaniepokoiła go nieobecność Jureczka. Nie przychodził z braćmi, a ci przepytywani unikali jasnej odpowiedzi. Nie widział go też na deptaku. Uśpiony wcześniejszym powodzeniem całego przedsięwzięcia, teraz zaczął się nad nim zastanawiać. Irytowała go zresztą bezczelność smarkaczy, pyskowanie, brak uprzedniej uniżoności. I to ich zadowolenie z siebie, kolorowe kurteczki, czapki, jeansy... Nabrał niejasnych podejrzeń. Postanowił sam wszystko sprawdzić. Następnego dnia wybrał się do fabryczki. Szedł przez łąki, pachniało gorzko jesienią, gnijącymi liśćmi olchy. Trawa zbrązowiała, szare niebo wisało nisko nad głową. Żeby dojść do budynku, musiał przedzierać się przez mokre gałęzie krzaków. W środku było ponuro, a podłoga zasłana śmieciami i zeschniętymi liśćmi, które nawiał wiatr. Spojrzał na schody, westchnął i zaczął się piąć na piętra. Zasapany stanął na ostatnim, tam gdzie mieli zbudować gołębnik. Podłoga była zarzucona pudłami różnej wielkości, z kolorowymi naklejkami „Nike”, „Wrangler”, sprzętu fonograficznego i komputerowego. Oszołomiony kręcił się w kółko, wreszcie dotarło do niego to, co zobaczył. Zaryczał z wściekłością, kopniakami roztrzącał pudła, z pochyloną głową rzucił się do przodu, potknął, i runął przez puste fabryczne okno. Przez moment zawisnął z rozpostartymi ramionami i poszybował w dół.



Anna Nowińska

**Wyróżnienie w konkursie
Za umiejętność szczegółowego opisu.**

Procesja ku czci św. Stanisława

Moja Polska jest wielokolorowa jak wiosna na zielonej łące upstrzonej kwiatami, jak dorodne lato z łanami zbóż, ziół, ciężarna owocem, nostalgią jesieni, spokojem i burzą zimy. Moja Polska to smutek, radość, milczenie, rozmodlenie, zwątpienie, zawiedzione nadzieje, wykluczenie, przemijanie, walka i bierność. Ma twarz dziecka, matki, ojca, dziadków, sąsiadów, przyjaciół i nieprzyjaciół, bohaterów i świętych, godnych i niegodnych, osamotnionych, bezdomnych, uwięzionych. Jest bogata tradycją, pamięcią pokoleń, z szacunkiem do dziedzictwa chrześcijańskiego, ojczyzny. To wspólnota ducha, wartości, miłości do ludzi, do ziemi ojczystej, świata, to troska i nadzieja na przyszłość. Przepelniona jest muzyką gór, lasów, strumyków, trąb, smyków, skargą, kwileniem ptaków, słowem dziecka, jękiem, rozpaczą.

Moja Polska to wolność i solidarność wolnej wspólnoty.

Zobaczyłam ją bogatą w śpiewy i kolory, radosną, w zadumie i powadze.

500-letni dzwon bił przejmująco. Szła w majowym słońcu, w trzepocie wysokich chorągwi poruszanych wiatrem nad odkrytymi i przysłoniętymi głowami pieszych, tych co na wózkach i na czułych rękach. Haftowane, malowane we wszystkich kolorach „Wysłuchaj. Wspieraj. Zmiłuj się. Nadzieję daj. Alleluja, Alleluja”. Rozwiał sztandary w silnych rękach mężczyzn. Wiódł ją Archanioł z rozpostartymi skrzydłami białymi i wzniesionym mieczem, nieustraszony, radosny, swą mocą anielską mógł odeprzeć wszelkie przeciwności. Za nim wystrojone hufce bractw, ruchów od Wszystkich Świętych. Święci, trochę święci i nie-święci rozświetleni pod gołym niebem, razem wędrowali ulicami, mijali place, odbijali się w szybach okien, znaczyli ślad w słońcu, w deszczu, w śpiewie, milczeniu, w pamięci wspólnoty i własnej.

Zlewali się z tymi na chodnikach, wyczekującymi na barwność, radość, wspólność. Z sacrum wawelskiego wyszła przeszłość odległa, na co dzień w murach, dzisiaj uskrzydłona pukała do pamięci o dawnych pokoleniach, zawierzeniach, uniach, koronacjach, pogrzebach, rytuałach. Przez wieki scalała to, co rozdzielono, wskrzeszała z niebytu ludzi, daty, dni chwały, upadków i zlotów wspólnoty. Relikwiarze ze świętymi rozświetlały szlak trudu, wyzwań i nadziei tych, co z normalności weszli do świętości. Święty Stanisławie, patronie nasz, pasterzu, co broniłeś kobiet, dzieci przed tyranem, domagając się wolności, prawdy i godności, jednoczyłeś rozdzielony naród, rozszarpane ziemie, natchnienie poetów, wieszczów i malarzy „wstawiaj się za nami” – biegly słowa pieśni. Święci: Faustyna, Jan Paweł II, Maksymilian Kolbe – nieśli miłosierdzie wszystkim.

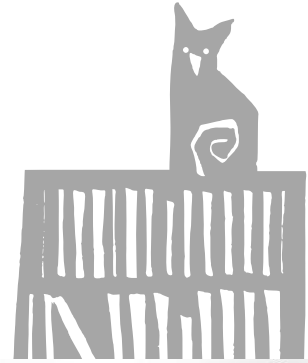
Litanie, pieśni, prośby, dziękczynienia, słowa Homilii, co wychowywały, modlitwy za ojczyznę, pokój, łaski dla papieża, rodzin, młodych niosły się do nieba. Wspólnota radości, wiary, nadziei, miłości, z Wawelu na Skałkę, ze Skałki na Wawel, wędrowała starym traktem znanym od pokoleń. Parafie niosły świętych pięknie umajonych, feretrony wrzuczone górą falowały. Franciszkańska Boleściwa, Pani Krakowska zamknęła wszystkich bóle w sercu przebitym strzałami, obejmując pieczołowicie, by się nie rozlały. Szły pielgrzymki kolorowane, gorsety krakowskie i sukmany białe, kaftany, żupany chwostem przybierane, pawie pióra w rogatywkach czerwonych rozwiane. Górale spod Turbacza i Tatr z Ludźmierską Madonną chwałę jej wznosili na skrzypcach, gęślikach, dudach i piszczalach, strojni w kierpce, kubraki futrzane, korale czerwone, bluzy haftowane, wyprostowani, w kapeluszach z muszlą wyrastali na olbrzymów w śpiewie. Tiulowe żywczanki w krynolinach, czepcach haftowanych w koronkowych chustach skromnie pochowane kroczyły paradne, jak z wystawy lale, obok aksamitnych mieszczan słuckim pasem przewiązanych. Szli z powagą dorosli i dzieci z chorągwią wspólnoty. Łowiczanki w wełniakach w róże haftowane, w zapaskach kwiatowych i w chustkach na głowie rozśpiewane w ramionach radosnych niosły podobizny świętych. Białe dziewczynki w stokrotkowych wiankach i krakowianki w uśmiechach kwiaty sypały. Obok nich jak obłoki niebieskie dziewczynki z rączkami w rękach matek, niewinnie śpiewały. Za feretronami wolno posuwała się drobniuteńka, schludna, pochylona, w ramionach zamknęła podobiznę świętą. Bractwo Kurkowe w przepychu, roztaczało kolorowe blaski, kroczyło, obok króla pacholę w stroju kurkowym kroki małe do dużych dostrajało w pełnej powadze. Szły cechy z insygniami władzy średniowiecznej. Purpura i fiolet tóg rektorskich i profesorskich podkreślały dostojeństwo wiedzy, powagę myśli, rozważę, troskę i radość wspólnego świętowania. Przesuwały się wszelkie odcienie czerni, granatu, brązu, szarości habitów i biel komży, hufce seminarium, zakonów służebnych niosąc skromność. Wspólnota z wszystkich kontynentów, państw, narodów, ludów, promieniała nadzieją. Bractwo Bożogrobowców szło pod zwycięską chorągwią Zmartwychwstałego Pana. Średniowieczne czarne damy w koronkach, pelerynach z krzyżem jerozolimskim płonąącym purpurą Świętych 5 Ran Chrystusa jakby sprzed wieków, dostojne na zaskoczonych ulicach. Historię pisało rokiem 1099 nad grobem Pańskim, hospicjum, pielgrzymkami jerozolimskimi gdzie przez wieki wspólnotnie chrześcijan, dobro, miłosierdzie ofiarowało. Maszerowało paradne wojsko, orkiestry, szły stráže porządkowe, służby miejskie, władze regionalne, politycy. Płonąca „Solidarność” falując zdawała się pytać o wolność, solidarność. Szła przyszłość zakłęta w przedszkolach, szkołach, uniwersytetach, harcerzach. Szła elitarność w Zakonach Maltańskim, Szpitalnym św. Łazarza, w Stowarzyszeniu Panteon Narodowy. Episkopat, fioletowy pasterz prowadził swe siostry i braci. Na tysiącletnim szlaku znanym

od pokoleń głowy pochylali wszyscy, święci, królowie, biskupi, dostojnicy, mieszczanie, chłopci, dzieci i dorośli, zwyczajni. Przeszłość, terażniejszość, przyszłość obok siebie. Stare bruki kwieciem posypane drżały od wspomnień. Pamiętały dni boleści 1079 roku i święto z 1254 roku wyniesienia męczennika na ołtarze. Uśmiechy dzieci, pogoda matek, powaga mężczyzn wieńczyły ufność. Obok siebie pokolenia dużych i małych, miast i wsi, kraju i spoza, w pojoju. Radość, zaduma, rozmodlenie we wspólnocie, co śpiewała „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki”.

Jechały wózki z dziećmi małymi i dużymi popychane przez zatroskane matki. Jechały wózki poruszane przez siedzących, uśmiechniętych. Młodzi mężczyźni pogodni, rozmawiali, zezwolili na zdjęcie, prosząc o jego odtworzenie, nie widać ich było na ekranie, tło w słońcu było zbyt ciemne, ale byli.

W Krypcie Zasłużonych na Skałce kryła się wieczność, Jan Długosz, Wincenty Pol, Józef Kraszewski, Stanisław Wyspiański, Jacek Malczewski, Henryk Siemiradzki, Karol Szymanowski, Adam Asnyk, Czesław Miłosz... Czytano inskrypcje „Wierzę, że mój Odkupiciel żyje”, „A dbałość o naukę jest miłość”. W kaplicach bazyliki ciche westchnienia, świece płonęły łzami.

Tysiącletnia studnia obmywała ręce pielgrzymów. Stare budynki w zadumie widziały takie procesje, słyszały ich śpiewy, przez wieki. Pierwsza procesja wyszła ósmego maja 1253 roku z księciem Bolesławem Wstydlwym, św. Kingą, św. Salomeą po beatyfikacji św. Stanisława, by upamiętnić patrona Polski i Krakowa. Prawie 800 lat wspólnego dziedzictwa, chrześcijaństwa, patriotyzmu narodowego i pielgrzymek z Wawelu na Skałkę. Wzdłuż ulicy stali radośni seniorzy, rodziny z małymi i większymi dziećmi, młodzi, turyści fotografowali, patrzyli, śpiewali, włączali się w barwną, rozśpiewaną procesję, przechodzili dalej. Restauracje, kawiarnie pełne. Bazary ożywione. Bulwary nad Wisłą rozbiegane. W pobliskich kościołach odprawione msze. Nad ulicami fruwały gołębie. Po przejściu procesji na ołtarzu polowym czytano Ewangelię „O dobrym pasterzu”.





Anna Okrzesik

**Wyróżnienie w konkursie
Za poszukiwanie nowatorskiej formy.**

Moja Polska jest kobietą

Moja Polska jest kobietą.
Czasem kapryśną, często egzaltowaną.
Wrażliwa, bystra, wierzy w Boga, ale i w teorie spiskowe.
Wtedy lubi się kłócić.

Moja Polska idąc przez życie spuszcza wzrok. Niepewność?
A przecież dużo osiągnęła... Jest bardzo ambitna. Trochę znerwicowana.
Ma dobre, mocne serce.
Biega wszędzie, gdy słyszy wołanie o pomoc.

Szkoda, że taka smutna. Rzadko się uśmiecha.
Może dlatego, że po przejściach...
Sporo pije. Wtedy płacze po utraconych marzeniach.
Robi się sentymentalna.

Moja Polska jest silną kobietą.
Tyle razy upadła i zawsze wstawała... uparciuch.
Nie można jej nie kochać.

Samolot nareszcie podchodzi do lądowania. Ile to już razy patrzyłam przez okno na te brązowo-zielone płachetki pól? Na te dachy pod szarymi chmurami nieba? Tyle pożegnań, tyle powitań i radości, że nareszcie w domu. Tym razem wracamy z Londynu. Z wizyty u syna, który mieszka tam, jak twierdzi, na stałe. Tak wybrał.

Po części czuję się odpowiedzialna za ten wybór. W końcu to ja zrobiłam z niego kosmopolitę. Wszędzie dobrze się czuje. Na każdej ziemi, która daje chleb i coś do chleba. Wywieźliśmy go z Polski, kiedy miał zaledwie rok. Najpierw Rzym, dwa lata w zawieszeniu, choć można tam było zostać na życie. Ale jak zostać, gdy zewsząd słyszysz wołanie *ciao bella!*, choć te 25 lat temu może byłaś nawet *bella*? Jak zostać, gdy wstążki makaronu dosłownie wychodzą ci jak strumienie uszami? Jak zostać w kraju, w którym przejście z wielkanocnym koszykiem do kościoła wzbudza taką wesołość, jakbyś była Czerwonym Kapturkiem i szła odwiedzić babcię do lasu?

W Polsce smutna rzeczywistość. Przed nami kontrakt w dalekiej Afryce i decyzja o emigracji. Zostawiamy Europę i wszystko co w niej rozumiemy. Będzie dobrze. W końcu jedziemy do miejsca, gdzie wszyscy są emigrantami, na swój sposób. Jedni dłużej, inni krócej, ale wszyscy bez wyjątku kiedyś tam przyjechali z Europy. Odnajdziemy się jakoś. Mamy dużo szczęścia. W RPA pracujemy w swoich zawodach, mąż „inżynieruje”, ja uczę w gimnazjum, dzieci chodzą do angielskiej, dobrej szkoły. Polonia cudowna. Przyjęła nas niezwykle serdecznie i bardzo pomogła się zaadaptować. Jesteśmy dla nich nowinką z dalekiego kraju. Większość od 10, 15 lat w Afryce, niektórzy nawet z emigracji powojennej. Wszyscy są ciekawi, co w kraju, jaka teraz ta Polska? Tęsknią. Co ciekawe, najwięcej rozmów to wspomnienia. Bliższe, dalsze, ale wszystkie prawie dobre. Jakoś zatarty się te gorsze. Wyparli? Zapomnieli? Nawet nie przypuszczałam wtedy, że z nami tak samo będzie po latach.

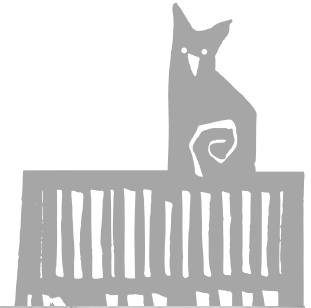
A my? My opowiadamy... O świętach, jednych i drugich, o ludziach, którzy zostali i tych, którzy już odeszli, o jesieni bajecznie kolorowej albo tej szarej i mglistej. O zimie, śniegu i nartach, o bałwanie lepionym z dziećmi na podwórku. O łyżwach na stawie i bocianach na majowym polu. Opowiadamy, a oni rozumieją. To chyba najważniejsze zdanie w tych wspomnieniach; oni rozumieją. I dociera do nas ta jakże prosta prawda, że nikt na świecie, poza Polakami, o pewnych rzeczach, sprawach, żartach, dowcipach i sytuacjach nie może powiedzieć, że je rozumie. To właśnie jest chyba ten kod kulturowy, którego częścią jesteśmy i który tylko my znamy.

A moja Polska to właśnie ten kod. Wpisany, wryty w nasze serca charakter, w nasze umysły i dusze. Wyrzeźbiony przez historię porażek i zwycięstw. To dzięki niemu tak dobrze się rozumiemy. Bez niego czujemy się wyobcowani, zagubieni. Żeby to zrozumieć, trzeba aż wyjechać i myśleć, że na zawsze.

Amerykańska Polonia ma swoje Jackowo w Chicago, angielska swój Ealing w Londynie. Będąc daleko, tak bardzo potrzebujemy tej namiastki polskości. W emigranckich kuchniach króluje schabowy, pierogi i bigos, a w upalny amerykański wieczór Wigilijny zasłaniamy kotary, by nie widzieć zielonego trawnika przed domem. Bardzo tęsknimy. Za wszystkim, co nas denerwuje, cieszy i martwi. Za złym i dobrym. Ale to nasze zło i nasze dobro.

I kiedy tak patrzę z okna samolotu na Kraków, który nieuchronnie się zbliża, myślę o niezapłaconych rachunkach, zakorkowanych ulicach, zatłoczonych porannych tramwajach i szarym powietrzu. I jestem szczęśliwa. Wracam do domu.







Antoni Niedziałkowski

**Wyróżnienie w konkursie
Za oryginalny pomysł publicystyczny.**

Taka jest moja Polska

Moja Polska to kraj ludzi szczęśliwych, czynnych, pracowitych, życzliwych, gościnnych, akceptujących różnice poglądów, zachowań i religii. To kraj obywateli i społeczników. To wspólnota ludzi solidarnych o różnym statusie materialnym, zróżnicowanych poglądach, często spierających się, ale w sprawach zasadniczych konsekwentnie dążących do konsensusu w imię wspólnego dobra.

Moją Polskę tworzą silnie zintegrowane społeczności lokalne, małe ojczyzny. Są one zarządzane przez ludzi wybranych spośród nich przy bardzo wysokiej frekwencji. Na tym szczeblu wybierane są osoby znane i szanowane w swoim środowisku, najczęściej bezpartyjne. Duża frekwencja i zaangażowanie przedwyborcze elektoratu daje im legitymację do działania, które jest obiektem zainteresowania wyborców. Radni w większości traktują swą pracę jako misję i służbę na rzecz swoich wyborców.

Zmiany w podejściu do wyborów, które zakorzeniły się na poziomie samorządu przebiły się do wyborów centralnych. Wzrosła frekwencja i zainteresowanie wyborców kandydatami, ich kwalifikacjami, życiorysami, sytuacją rodzinną i majątkową. Do sejmu i senatu wybierani są już przede wszystkim ludzie znani, mający osiągnięcia osobiste, zasłużeńi dla kraju i niezależni finansowo. Kandydaci na spotkaniach przedwyborczych przedstawiają swoje programy, których realizacja jest weryfikowana podczas kadencji przez wyborców. Wybrani parlamentarzyści zaczynają pełnić rolę służebną dla wyborców, rezygnując z dotychczasowej roli mentorów, ekspertów i przewodników życiowych swoich, bądź co bądź, pracodawców.

W mojej Polsce prawo stanowione przez Sejm jest przygotowywane przez zespoły specjalistów, prawników i ekspertów z danej dziedziny. Jest proste i dopracowane. Została zmieniona konstytucja RP, w której zawarto najważniejsze dla funkcjonowania Państwa regulacje. Obecnie liczy tylko kilkanaście stron. Jest jasna i pozbawiona w zapisach dwuznaczności, dodatkowo jest bezwzględnie przestrzegana, o co dbają konstytucjoniści zasiadający w zespołach stanowiących prawo. W Polsce prawo jest przestrzegane i wobec wszystkich stosowane identycznie. Zmieniono zakres działania immunitetów, które obecnie chronią tylko w zakresie spraw związanych z bezpośrednim wykonywaniem mandatu. Wszelkie wykroczenia i przestępstwa, za które odpowiedzialność poniósłby zwykły obywatel są wyłączone z ochrony immunitetem.

Nastąpił rzeczywisty, konstytucyjny rozdział kościoła od państwa. Zniknęły symbole religijne z instytucji państwowych. Dostojnicy kościelni przestali ingerować w sprawy państwowe, zajmując się ewangelizacją w kościołach i mediach kościelnych, których ilość wzrosła. Zlikwidowano też w kościele katolickim celibat. Odkąd Kościół odciął się od polityki i intensywniej zajął się realizacją swojej misji, wzrosła ilość dzieci uczęszczających na nauki religii w parafiach oraz wiernych uczestniczących w mszach świętych. Wzrosło też zainteresowanie kościelnymi wydawnictwami, radiem i telewizją.

Pod presją odbiorców zmieniły się media. Zarówno publiczne radio jak i telewizja finansowane są przez wszystkich obywateli obowiązkowo, co pozwoliło na znaczne obniżenie opłaty. Równocześnie zniknęły z tych mediów wszystkie reklamy. Programy informacyjne w telewizji publicznej przedstawiają możliwie pełny obraz wydarzeń w Polsce i na świecie. Zarzucono selekcję informacji pod kątem oglądalności, która wbrew obawom wzrosła.

Coraz częściej pojawiają się w mediach dziennikarze dobrze wykształceni i przygotowani. Wzrosła więc merytoryczna jakość programów. Na rozmówców zapraszani są ludzie niezależnie od poglądów. Podstawowym kryterium jest ich wiedza. Bezwrotnie zniknęły programy, w których prowadzący albo nie wiedział, o co spytać zaproszone osoby, albo w przeświadczeniu o własnej mądrości nie dopuszczał rozmówców do głosu. Dziennikarze zaczęli pytać polityków o sprawy zasadnicze dotyczące Polski, jej rozwoju i realizacji programów wyborczych, a nie jak dotychczas o opinie na temat tego, co powiedział „pan X” w sprawie „pani Y”. Zniknęła też z mediów większość polityków nie odnajdujących się w nowej konwencji, gdzie mówi się nie to, co się wie, tylko trzeba wiedzieć, o czym się mówi.

Nastąpiły zmiany na rynku prasowym. Coraz gorzej mają się różnej maści tabloidy, ich nakłady spadły. Zmieniło się zapotrzebowanie. Zaczynają być poszukiwane teksty rzetelnie przygotowane, oparte na faktach oraz rzeczowe komentarze pozbawione emocjonalnego bełkotu.

Taka jest moja Polska. W mojej Polsce nie ma prawdziwych Polaków, są tylko moi Rodacy, nie ma także prawdziwych Katolików, są tylko wyznawcy różnych religii – wśród nich najliczniejsi Katolicy. Powiecie, że to głupota, utopia, ma-

rzenie, że tak nigdy w Polsce nie będzie. Może tak, a może nie. Po pierwsze wszystko jest możliwe, a po wtóre jak powiedział klasyk kabaretu „Lepiej być głupim z nadzieją, niż beznadziejnie mądrym”. Ja wolę być tym głupim. Z nadzieją lepiej się żyje.







Andrzej Mitura

**Wyróżnienie w konkursie
Za uzasadnienie trudnej miłości.**

Moja Polska to tradycja, doświadczenie i terazniejszość

*Nie pytaj co ci Ojczyzna dała,
Powiedz co Jej możesz ofiarować.*

Ojczyzny nie wybierałem. Stało się to z woli rodziców w mieście Kłodzku, gdzie los rzucił moich najbliższych w powojennej tułaczce. Nie wyssałem jej także z mlekiem matki. Kiedy się urodziłem, mama miała już 40 lat – zapewne karmiła mnie niemiecka mamka, jak to było wówczas w zwyczaju na Ziemiach Odzyskanych, rok po zakończeniu II wojny światowej. Nie mogłem im tego wybaczyć, że tak spaprali mi życiorys. Zamiast urodzić mnie w ukochanym Krakowie, do którego wrócili parę miesięcy później i gdzie spędziłem większość swojego życia, to gdzieś na zachodnich kresach, w jakiejś miéscinie...

Dopiero 50 lat później poznałem to miasto, zauroczyło mnie i zmieniłem zdanie, teraz jestem dumny z mego miejsca urodzenia. Mam z tamtego okresu dwie szczególne pamiątki, które towarzyszą mi przez całe życie: stary, dębowy, solidny niemiecki zegar, wysoki prawie na dwa metry, z pięknymi błyszczącymi miedzią ciężarkami, odmierzający głosem kurantów co godzinę upływający nieubłaganie czas oraz XIX-wieczną kopię obrazu Romney'a, malarza angielskiego, w pięknej ornamentyce złotej oprawy (faktycznie drewnianej). Ten portret młodej damy, której oryginał wisi w Ermitażu, ma szczególną cechę. Kobieta wodzi swoim badawczym, a zarazem figlarnym spojrzeniem za oglądającym ją widzom wszędzie, gdziekolwiek on stanie – w ten sposób zawsze, już od dziecka, czuję jej opiekuńcze spojrzenie, choć kiedyś była to stara matrona, a teraz to młoda panna – dziwne, prawda?

Te miłe sercu pamiątki, tak ważne dla mnie, z miasta, z którego pochodzę – to namacalny dowód mojego pierwszego zetknięcia, jeszcze nieświadomego z moją już Polską, która rok wcześniej była przecież Niemcami.

Rodzice poznali się we Lwowie, ślub wzięli w sierpniu 1939 roku. Był to klasyczny mezalians. Mama urodzona we Lwowie w dobrej, szlacheckiej rodzinie herbu Sas, z udokumentowanym rodowodem, której dobra przepadły w wyniku udziału w kolejnych zrywach powstańczych. Ojciec – chłopak wiejski z ubogiej nadwiślańskiej wsi, położonej gdzieś pomiędzy Sandomierzem a Kazimierzem, kształcony przez księży w seminarium, skąd wyrwał w wielki świat na studia geologiczne do Lwowa. W dodatku młodszy był od swej wybranki o 10 lat. Ale fakt, że obaj moi dziadkowie byli żołnierzami i obaj walczyli o Polskę z nawałą bolszewicką w 1920, zapewne zadecydował o zgodnym pobłogosławieniu tego nietypowego małżeństwa.

Sentyment do tradycji rodzinnej, do Lwowa, który tak kochali moi rodzice, pozostał w moich genach. Na próżno jednak szukałem śladów moich przodków na cmentarzu Łyczakowskim – pradziadka Ferdynanda Bojarskiego, powstańca styczniowego, który po przekroczeniu granicy, wcielony do armii austriackiej, wraz z arcyksięciem Maksymilianem znalazł się w Meksyku, skąd pomógł wrócić do ojczyzny księżniczce Marii Charlott, żonie rozstrzelanego przez rewolucjonistów cesarza. Za ten czyn z rąk cesarza Franciszka Józefa uzyskał dostojny tytuł „de” do nazwiska i urząd w powiecie Zborowskim. Mimo to nienawidził arystokracji, oskarżając ją o działanie na zgubę Polski, a jego ulubioną pieśnią była „O, cześć wam panowie, magnaci”.

Również jego syn, a mój dziadek, Emanuel Bojarski, walczył podczas pierwszej wojny światowej w armii austriackiej na froncie włoskim, a następnie bronił Lwowa przed Ukraińcami, później bolszewikami Stalina, dowodząc w stopniu kapitana swoimi żołnierzami. Pochowany w 1941 roku w ziemnej mogile, gdzieś na zalesionych wzgórzach cmentarnych pomiędzy pomnikiem Orłąt Lwowskich, a kwaterą powstańców styczniowych, leży w tej ziemi bezimienny jak wielu innych Polaków. Mimo moich usilnych starań śladu grobu nie odnalazłem.

Ale ta ziemia to również moja Polska.

Przy tych dokonaniach przodków mojej mamy, skromniej wyglądają dzieje mojego drugiego dziadka, Feliksa, który opuściwszy swoją rodzinną wieś Ciszycę nad Wisłą, pracował w ogrodach carskich pod Petersburgiem, aby następnie w czasach wielkiej wojny dosłużyć się stopnia wachmistrza ułanów, walcząc w korpusie generała Dowbór-Muśnickiego, a potem z bolszewikami w obronie Warszawy. Wrócił wreszcie na swoje małe gospodarstwo położone na stromym brzegu rzeki, aby zająć się nim i trzema synami. W czasie ofensywy styczniowej w 1945 gospodarstwo przestało istnieć.

I ta ziemia nad Wisłą, ojcowizna, to także moja Polska.

Z tej tradycji rodzinnej wyniosłem szacunek do munduru, miłość do koni i ziemi, a przede wszystkim umiłowanie wolności. Konie namiętnie rysowałem od dziecka, potem ujeżdżałem, ziemię uprawiam w stworzonym przez siebie ogrodzie do chwili obecnej, tworząc kompozycje roślinno-kwiatowe, a mundur? Pierwszy – harcerski, kupiony przez ojca dostałem w 1957 roku, po przełomie październikowym. Do dziś pamiętam jego zapach, błyszczące guziki z lilijką, żółto-pomarańczowe naramienniki 23 KDH, popielaty sznur i czapkę z daszkiem. A był to szczęśliwy czas rehabilitacji harcerstwa, powstania warszawskiego, AK. Chłonałem to wszystko jak gąbka spragniona wody, po okresie, kiedy jedynie można było kolekcjonować portrety Stalina, Bieruta i Rokossowskiego, drukowane w codziennej, czarno-białej prasie.

Drugi mundur, który sprawił mi radość, już oficerski, założyłem w 1972 roku, po powołaniu po studiach do okresowej dwuletniej służby wojskowej w stopniu podporucznika. Znów był świeży, pachnący, prosto spod igły, guziki tym razem z orzełkiem, sznur srebrny paradny, gwiazdki na epoletach. W wojsku czułem się dobrze, szybko uzyskałem zaufanie dowódców, pełniąc jako jedyny niezawodowy służbę oficera dyżurnego jednostki, co było wyjątkowym wyróżnieniem. Potem zaproszenie do Warszawy na obiad z Głównym Kwatermistrzem WP, odznaczenie i propozycja pozostania w armii na stałe. Zdecydowanie odmówiłem. Dopóki na ćwiczeniach jako wrogie będą widnieć sylwetki samolotów amerykańskich, angielskich czy francuskich, a wyznaczonym celem ataku będzie Dania lub inne państwa europejskie – to nie może być moje wojsko, do którego z własnej ochoty bym wstąpił. Było to już po przyspieszonej edukacji marca 1968, inwazji w Czechosłowacji, grudniu 1970, w którym to miesiącu obroniłem dyplom, a radosne oblewanie zdanego egzaminu zakończyło się tragicznymi wiadomościami z Wybrzeża.

Dwa razy poczułem namacalny smak wolności.

Po raz pierwszy, kiedy stanąłem na najbardziej wysuniętym w morze cyplu Westerplatte i poczułem się jak Ikar, który rozwinął skrzydła, aby polecieć w wolny świat (a granice były wówczas dla nas zamknięte). Drugi, już później, kiedy pierwszy raz przekroczyłem, a właściwie przejechałem pociągiem zamkniętą zasiekami z drutu kolczastego granicę naszego „obozu” pomiędzy Bułgarią a Turcją. Siedząc w Stambule na wzgórzu pod pałacem Sułtana z widokiem na zatokę Złotego Rogu, obserwując dziesiątki statków i stateczków uwijających się w jaskrawym słońcu na błękitnej tafli wody, smakowałem uczucie wolności. Świat był otwarty. Trudno było wracać do szarej rzeczywistości.

A jednak ilekroć w późniejszym okresie, już przy otwartych granicach, wyjeżdżałem przeważnie samochodem z kraju, to wracając odczuwałem ulgę, że znowu jestem u siebie. Będę mówił, jadł, pracował i wypoczywał po naszymu. Nawet w tych trudnych latach nie wyobrażałem sobie, abym mógł wyjechać z Polski na stałe. Na szczęście przyszedł rok 1979. I wtedy wszystko się zaczęło. Późniejsze wydarzenia, strajki, powstanie Solidarności, odzyskanie niepodległości, wolne wybory – to konsekwencja tych majowych dni, kiedy do Polski z pierwszą wizytą przybył nasz Karol Wojtyła, już jako Jan Paweł II. Słowa wypowiedziane na placu w Warszawie wstrząsnęły Polską.

Drugi wstrząs, tym razem mój osobisty, związany był z przylotem papieża do Krakowa. Było już po południu, ściemniało się. Błonia, park Jordana, podjechałem na rowerze i stanąłem w miejscu, gdzie nie było wiele osób oczekujących, jedynie pojedyncze postacie. Nagle huk silników białych śmigłowców nadlatujących znad parku przerwał ciszę oczekiwania. Helikoptery wolno, majestatycznie wylądowały na skraju Błoń. Po dość długim okresie kolumna pojazdów ruszyła w stronę miasta. Było już ciemno. Mignęły samochody milicyjne, potem samochód z ciemnymi sylwetkami komandosów z obstawy, i nagle zajaśniała, mocno oświetlona, biała sylwetka Jana Pawła II stojącego na otwartej platformie białego Stara. Z tej jasnej postaci w tej otaczającej już ciemności promieniowała świętość, papież mnie błogosławił – nie wiedziałem jak się zachować, czy klęknąć, odruchowo podniosłem rękę w pozdrowieniu... Wtedy uwierzyłem, byłem przekonany o Jego Świętości.

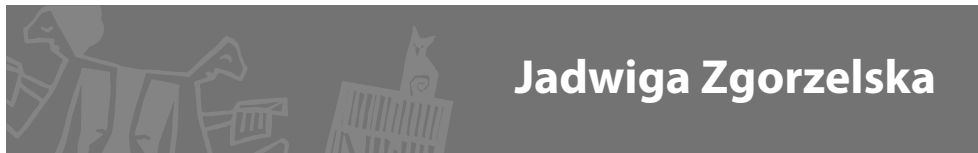
I tak zapamiętałem Go na całe życie, choć potem było wiele innych spotkań, również tych pod oknem na Franciszkańskiej, kolejne wizyty, uroczystości. Kraków wówczas diametralnie się zmieniał, stawał się wolnym miastem, ludzie byli radośni, uwierzyli w możliwość zmian, Duch Święty zaczął działać.

To była moja, najpiękniejsza Polska.

10 lat później powstała nowa, III Rzeczpospolita, już nie Ludowa, ale Niepodległa – nowe wyzwania, nowe nadzieje. Po przeprowadzonym konkursie zostałem dyrektorem naczelnym jednej z największych krakowskich firm budowlanych, w której zatrudniony byłem od czasu wyjścia z wojska. Miałem ambitny plan przepracować na tym stanowisku przynajmniej dwa lata, przekształcić firmę i doprowadzić do prywatyzacji. Zajęło mi to kolejne 20 lat, najpierw walki o utrzymanie i restrukturyzację przedsiębiorstwa, a następnie jego rozwój. W międzyczasie pochłonęło mnie zakładanie organizacji samorządowych – Izby Gospodarczej Transportu Lądowego, Związku Pracodawców Małopolskich, Fundacji Niepełnosprawnych w Stróżach. Taka uczciwa praca od podstaw aż do emerytury.

Firmę w końcu wykupił od Skarbu Państwa krakowski biznesmen, tworząc świetnie zapowiadającą się grupę ZUE. Ja na kapitalistę już się nie nadawałem. I jakież było moje zdziwienie, gdy otwierając nowy etap swojego życia, zapisując się na warsztaty literackie w Willi Decjusza, w wejściowej nawie odnowionego pałacu, wśród głównych sponsorów towarzystwa, zobaczyłem: Grupa ZUE.

Historia zatoczyła koło.



Jadwiga Zgorzelska

Wyróżnienie w konkursie

Za dwuznaczny opis miejsca, w którym miłość spotyka się z polityką.

Czerwone goździki

- Do widzenia pani, do jutra.
- Niech pani zaczeka. Pytała pani o goździki. Właśnie zamówiłam, dostarczą jutro o 11.00. Przygotuję dla pani wiązankę. Mają być czerwone, tak?
- Tak, 15 czerwonych. Dziękuję, że pani pamiętała. Może zaliczkę zostawić?
- Nie trzeba, przecież pani codziennie przychodzi, od stałych klientów nie biorę zaliczki. Do widzenia, do jutra.
- Do widzenia.

Irena powoli oddała się. To miło ze strony tej kobiety, że zamówiła dla niej goździki. Potrafi dbać o stałych klientów. Irena od miesiąca codziennie przechodzi obok jej straganu, często kupuje znicze i kwiaty, czasem zamienia parę niezobowiązujących słów. Dziwne, że nigdy nie zapytała, czyj grób codziennie odwiedza. A może po prostu wie i dlatego nie pyta. Raczej nie pamięta czasów, kiedy tatuś był znaną osobistością w mieście, za młoda jest. Może ktoś jej powiedział. Zresztą, nieistotne. Jutro udekoruje grób tatusia jego ulubionymi czerwonymi goździkami, zapali czerwone znicze. Potem spotka się z kamieniarzem, obejrzy katalog pomników.

Tatuś odszedł dokładnie miesiąc temu, w dniu swoich imienin. Była to bardzo ważna data w rodzinnym kalendarzu, imieniny ojca obchodzone były kiedyś bardzo uroczyście. Mama sobie świetnie radziła z organizacją dużych domowych imprez, oczywiście z pomocą pani Stasi. Wszystko było przygotowane perfekcyjnie. Po śmierci mamy przyjęcia w domu były bardziej kameralne, skromniejsze, ale w kombinacji sekretarki tatusia zawsze stawały na wysokości zadania i dbały, aby dzień ósmego maja był należycie obchodzony. Kiedy tatuś odszedł na emeryturę, tylko kilku wiernych przyjaciół pamiętało o złożeniu życzeń, z roku na rok było ich coraz mniej. Ostatnio już tylko Gawlikowie i pani Helena przychodzili na tradycyjny, imieninowy tort. Niewiele osób uczestniczyło też w skromnym, świeckim pogrzebie tatusia. Nie przyjechał nikt z rodziny.

Mama czekała na niego tam, w zaświatach 31 lat. Zmarła na raka, kiedy Irena miała 32 lata. Zgodnie z ostatnią wolą spoczęła w rodzinnej Rysiówce, na Podkarpaciu. Chciała chyba złagodzić w ten sposób dyskomfort, jaki tatuś musiał odczuwać z powodu konieczności uczestniczenia w obrzędku katolickim. Irena pierwszą komunię też przyjęła w Rysiówce. Mamie udało się przekonać tamtejszego proboszcza, że kariera ojca mogłaby ucierpieć, gdyby córka przystąpiła do komunii w mieście. Irena nie rozumiała wówczas, dlaczego ten fakt musiał pozostać tajemnicą.

Tatuś niechętnie odwiedzał rodzinne strony. Chyba krępowało go to, że krążyły o nim legendy. Pamiętano go tam jako prostego chłopaka z wioski. Sąsiedzi i dawni koledzy byli dumni, że ten znany człowiek, o którym piszą w gazetach, a i w telewizji się kiedyś pojawił, to ich Stachu, który jako dziecko krowę pasał pod lasem, w niedzielę do mszy służył, a po wojnie ożenił się z najstarszą Grypsiówną. Bystry był z niego chłopak, proboszcz nawet próbował u niego odkryć powołanie kapłańskie.

Kiedy dziadek zdecydował, że to młodszy brat ojca obejmie po nim gospodarstwo, rodzice postanowili poszukać szczęścia w mieście. Początki nie były łatwe, chociaż Irena nie może tego pamiętać. Wie tylko z opowiadań rodziców, że ojciec już rok po podjęciu pracy w kombinacie rozpoczął naukę w wieczorowym liceum, po dwóch latach zdał maturę i skierowano go na studia, na politechnikę. Wtedy też zapisał się do partii. Zaprzyjaźnił się z Władkiem, pierwszym sekretarzem komitetu zakładowego. Ojciec, jak wielu młodych wówczas ludzi był beneficjentem awansu społecznego. Prosty chłopak ze wsi został inżynierem, a potem coraz wyżej piął się po szczeblach kariery. Mama bardzo go wspierała, oczywiście wychowanie córki i dom były całkowicie na jej głowie.

Kiedy wracał z zagranicznych podróży służbowych, przywoził niesamowite prezenty dla niej i dla mamy. Tej dużej, śpiewającej lalki zazdrościły jej wszystkie koleżanki. W szkole podstawowej nie lubiła, kiedy rówieśnicy odwiedzali ją w domu, czuła się skrępowana tym onieśmieleniem, jakie im zazwyczaj towarzyszyło. Marzyła, żeby być dziewczynką taką, jak inne. Potem, w liceum i podczas studiów nie miała już z tym problemu. Była dumna, że jest córką prominenta, przyjaźń z nią była nobilitująca. Ciuchy z Pewexu, egzotyczne wakacje, tego nie dało się ukryć. Była rozpieszczana, w tych rzekomo trudnych czasach miała wszystko, o czym inni mogli tylko marzyć.

W zamian za życie usłane różami rodzice oczekiwali, że spełni ich marzenia. Już jako mała dziewczynka wiedziała, że będzie lekarką. Nigdy nawet nie pomyślała, że mogłaby wybrać inne studia. Na medycynę trudno było się dostać, ale tatuś jak zwykle stanął na wysokości zadania, egzamin był tylko formalnością. Nie wytrwała nawet do końca pierwszego roku. Bardzo szybko okazało się, że to nie dla niej. Ćwiczenia z anatomii były nie do przejścia, a po pierwszej wizycie w prosektorium podjęła decyzję. Rzucała studia nic nie mówiąc rodzicom. Chyba nigdy jej nie wybaczyli. Kiedy w następnym roku zdawała na biologię, mogła liczyć tylko na siebie. Nigdy nie okazali zrozumienia, ani szacunku dla tego wyboru. Irena jednak nieoczekiwanie poczuła powołanie do pracy w szkole. Na szczęście już wtedy nie mieszkała z rodzicami, tatuś załatwił jej dwupokojowe mieszkanie w centrum. To ją uskrzydliło, poczuła się bardzo samodzielna, zaczęła zapraszać znajomych. Doceniono ją też w pracy. Była młodą, niedoświadczoną nauczycielką, kiedy została zastępcą dyrektora szkoły.

To wtedy związała się z Jackiem, wuefistą z sąsiedniego liceum. To były najszcześniejsze trzy lata w jej życiu. Choć planowali wspólną przyszłość, długo zwlekała z przedstawieniem go rodzicom. Nie mogła przecież oczekiwać akceptacji, nie był wymarzoną kandydatem na zięcia. Nie powiedziała im też, że był aktywnym działaczem Solidarności, a ona chłonęła jak gąbka te jego idee. Z niepokojem myślała o nieuchronnym zderzeniu światopoglądów. Rodzice przyjęli go jednak życzliwie. Może dlatego, że zbliżała się do 30-tki, a nikt inny do tej pory nie zaistniał w jakiś szczególny sposób w jej życiu. Na początku stanu wojennego Jacka internowano. Odważyła się wówczas na szczerą rozmowę z ojcem, liczyła na jego pomoc. Przecież wszystko potrafił załatwić. Nie tylko odmówił, ale stanowczo stwierdził, że nareszcie wichrzyciele i wrogowie państwa znaleźli się tam, gdzie ich miejsce. Zerwała z nim kontakty. Kiedy Jacek po kilku miesiącach wrócił, płomień ich miłości jakby przygasł, a potem... Do dziś nie potrafi o tym spokojnie myśleć, związał się z Teresą. Wyjechali razem, chyba do jej rodziny na Zachód. Słyszała, że nadal są razem, mieszkają na północy Francji, mają już troje wnucząt.

Z tatusiem ponownie zbliżyli się do siebie podczas choroby mamy. Wspólnie ją wspierali, ale po kilku miesiącach nierównej walki mama odeszła w wieku 56 lat. Tatuś był już wtedy dyrektorem kombinatu. Pani Stasia zamieszkała w gościnnym pokoju, żeby zając się domem, chociaż tatuś rzadko w nim przebywał. Kierowca przywoził go przeważnie późnym wieczorem. Pozycja dyrektora wymagała utrzymania dobrych relacji z wieloma osobami, alkohol miał to ułatwiać. Pani Stasia zdradziła kiedyś, że pojawiła się w jego życiu jakaś kobieta, podobno była sekretarka, ale Irena nigdy jej nie poznała. Zresztą była zajęta sobą, próbowała jakoś poskładać to swoje życie, przeżyła kilka krótkotrwałych romansów, ale z nikim nie potrafiła związać się na stałe. Nigdy też nie poznała okoliczności odejścia ojca na emeryturę. W 90 roku osiągnął wprawdzie wiek emerytalny, ale miał ogromne doświadczenie i dosyć zapału, aby nadal kierować kombinatem. Chyba boleśnie odczuł to przesunięcie na boczny tor. U Ireny w szkole też się sporo zmieniło. Nowy dyrektor podziękował jej za pełnienie funkcji zastępcy i mianował na jej miejsce młodą polonistkę.

W gazetach pojawiło się kilka artykułów szkalujących tatusia. Niewdzięczność ludzka nie zna granic. Po tylu latach rzetelnej pracy zarzucano mu niegospodarność, nepotyzm, ktoś nawet wspominał o nieuczciwości. To przelało czarę

goryczy. Tatuś zaczął chorować, leczyl się w poradni kardiologicznej. Niestety, nie uchroniło go to przed ciężkim udarem. Cudem przeżył, ale nigdy nie odzyskał pełnej sprawności. Ostatnie siedem lat spędził na wózku inwalidzkim. Po śmierci pani Stasi Irena przejęła nad nim opiekę. Było to zajęcie coraz bardziej absorbujące. Dobrze, że mogli sobie pozwolić na zatrudnienie pielęgniarki, tym bardziej, że inne choroby też tatusia nie oszczędziły. Sześć lat temu zdecydowała się na wcześniejszą emeryturę i poświęciła się całkowicie opiece nad tatusiem. Zresztą ze szkoły odeszła z ulgą, wiedziała, że dyrektor czeka na jej wypowiedzenie, zwłaszcza, że niż demograficzny dał o sobie znać i od kilku lat musiała uzupełniać etat w innej szkole.

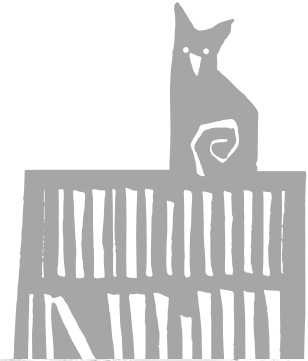
Wśród tych wspomnień uparcie powraca pytanie, czy jej życie mogło potoczyć się inaczej. Od ponad dwudziestu lat nie wydarzyło się nic szczególnego. Trochę ją dziwią, a nawet irytują te fajerwerki z okazji ćwierćwiecza odzyskania wolności, sama jakoś nie odczuwa potrzeby świętowania. Nie, to nie jest dobry moment na takie rozmyślenia... Musi uporządkować wiele spraw. Najważniejsza, to sprzedaż mieszkania po rodzicach.

Jest wdzięczna tatusiowi, że problemy materialne jej nie dotyczą. Będzie mogła bez niepokoju myśleć o własnej starości. Jutro ofiaruje mu bukiet czerwonych goździków.



LITERACKIE ROZMAITOŚCI

W tej części prezentujemy subiektywny wybór tekstów powstałych w czasie warsztatów w ramach projektu SAGA w Willi Decjusza w 2014 roku. Są to przede wszystkim ćwiczenia, literackie gry i zabawy, prace domowe i refleksje inspirowane udziałem w wydarzeniach kulturalnych.



Rupek – egzystencja bez napędu. Życie bez Dępana

Pamiętam ciepłą wodę w jeziorze, wygrzany piasek, przyjemny chłód w cieniu krzaków, ciszę i spokój. Zawsze byliśmy razem. Ja i mój Dępan. Chroniłem go przed słońcem na łądzie, przed okaleczeniem, gdy pływając zderzaliśmy się z kuzynami. Nawet zapuściłem wyrostek tylny, żeby bardziej chronić jego ogonek!

Potem coraz częściej nad jeziorem pojawiały się jakieś stworzenia, które nazywały samych siebie LUDŹMI. Zostawiali na piasku jakieś dziwne rzeczy, które nam przeszkadzały w spokojnych wieczornych spacerach. Już w ogóle nie chciało nam się z wody wychodzić. Chowaliśmy się w głębinach jeziora, żeby nie słyszeć okropnych hałasów, jakie wydawali. Ale i tam potrafili nas znaleźć. Wyciągali nas z wody, odwracali do góry brzuchami. Podobało im się, jak machamy łapkami, nie mogąc znaleźć żadnej podpory. Dla nich to było śmieszne, dla nas okropne. Pewnego razu złapali i zabrali Rupkę, wybrankę mojego serca. Wołała nas, ale nie mogliśmy jej pomóc.

Zostaliśmy sami z Dępanem. Żeby nie podzielić losu mojej Rupki chowaliśmy się po krzakach, ale tam czyhały na nas psy Dingo. Mijały lata i mój Dępan coraz częściej mówił o zielonych, niebiańskich pastwiskach i jeziorach. Opowiadał, jak fajnie tam będzie. Już nie będzie ludzi, nie będzie psów Dingo, a jak będą, to będą żyły z nami w przyjaźni.

Aż nadszedł ten dzień. Dępan odszedł.

Tylko dlaczego zawsze jak mówił o zielonych pastwiskach, to nigdy nie wspominał, że wybiera się tam sam?! I dlaczego musiał odejść akurat wtedy, gdy byliśmy na środku plaży?! A jeżeli już chciał odejść sam, beze mnie, to dlaczego nie zaniósł mnie w krzaki, gdzie mógłbym sobie leżeć niezauważony do końca świata? Dlaczego nie pamiętał, że bez niego, bez mojego Dępana, zostanę na zawsze w tym samym miejscu? Na środku plaży!

I tak sobie leżeliśmy, aż mój Dępan zamienił się w nicość. Było mi lekko, tylko co z tego! Nie mogłem się schować przed palącymi promieniami słońca. Nie mogłem zaznać ochłody w wodach naszego jeziora.

Pewnego dnia mały LUDŹ wygrzebał mnie z pisaku. Pokazał tym większym LUDZIOM. Owinęli mnie czymś i wrzucili do jakiegoś worka. Było ciasno, ciemno i zimno. Słyszałem tylko jednostajne buczenie. Kiedy mnie wyjęli, byłem w jakimś dziwnym, nieprzytulnym miejscu. Widziałem idealnie płaskie, niskie niebo, nie było krzaków ani drzew, tylko jakieś kanciaste obiekty. Plaża, na której mnie położyli, jest wysoko, jest twarda, nie ma na niej ziarenek piasku. Czasem biorą mnie z tej plaży, dotykają, podają innym. Jeżeli przez przypadek upadnę, oglądają, czy jestem cały. Myślałby kto, że się przejmą, gdybym się rozleciał na kawałeczki!

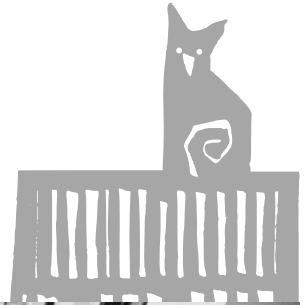
Jestem szczęśliwy, gdy wreszcie odłożą mnie z powrotem na moją nową plażę. Najbardziej lubię, jak zapalają słońce. Nazywają to lampą. Wtedy czuję się jak przed laty na mojej wyspie.

I mogę sobie spokojnie tęsknić za tym egoistą Dępanem.



8 zdań na dobranoc

Po całym długim dniu zamknij już oczy mój mały króliczku. Niech ci się przyśni łąka pełna kwitnących kwiatów, gdzie żółte mleczki mieszają się z dmuchawcami, a kiedy dmuchniesz na nie, białe igielki podniosą się i polecą w świat. Na zbierasz stokrotek i rosnących nad strumykiem niezapominajek, otoczysz je liśćmi babki i ten mały biało-niebiesko-zielony, najpiękniejszy prezent wręczysz mamie. Z tatą pobiegiesz nad wodę, zrzucisz sandałki i będziesz brodzić w wartkiej wodzie. O, stanęłaś na śliskim kamieniu, straciłaś równowagę – nie bój się, tata jest z tobą, podtrzyma cię, gdy się zachwiejesz, zawsze możesz na niego liczyć. Pobiegiesz za śmiejącym się w głos bratem, kiedy przewrócisz się na kretowisku, jemu też spodoba się taka zabawa. Będziecie razem turlać się w miękkiej, słodko pachnącej ziołami trawie, niebo i zieleń będą migać wam przed oczami. Świat wokół was będzie jasny, czysty, ciepły, pełen kochanych ludzi, radosnych doznań, pełen barw i zapachów. Dobranoc króliczku.



Film, który mnie zachwyił...

Kopia mistrza – film, który nie tylko mnie zachwyił, ale też mocno poruszył i wzruszył. Jest to fikcyjna opowieść Agnieszki Holland, zrealizowana w międzynarodowej koprodukcji, o trzech ostatnich latach życia (1924-1927) Ludwika van Beethovena.

W jego domu, w którym mieszka samotnie, zjawia się młoda utalentowana studentka konserwatorium, by pracować w charakterze kopistki. Ich relacje są bardzo skomplikowane. Starzejący się, dotknięty głuchotą muzyczny geniusz jest osobą bardzo trudną we współżyciu. Anna jest zafascynowana twórczością mistrza i spędza w jego towarzystwie każdą wolną chwilę. Przejmujące są sceny, gdy Ludwik mówi o muzyce jako języku Boga, któremu jednocześnie złorzeczy za swoją głuchotę. Mówi do Anny: „Bóg do ciebie szepcze, a do mnie krzyczy, dlatego jestem głuchy”. Ponieważ zbliża się termin prawykonania nowej symfonii, Anna z cierpliwością i oddaniem znosi jego wybuchy i ingerowanie w jej życie. Najlepszą sceną filmu, wciągającą widza oraz ukazującą geniusz Beethovena, jest bardzo długa, ale rewelacyjna scena pierwszego publicznego wykonania monumentalnej *IX Symfonii*, jednego z najświetniejszych dzieł mistrza. Wrażenie potęguje fakt, że Anna bierze w tym udział schowana w budce suflera wśród orkiestry, nie tylko wspiera, ale cały czas prowadzi głuchego przecież dyrygenta i twórcę tej symfonii wszechczasów.

Główni aktorzy to gwiazdorska wręcz obsada. Ludwika jako demonicznego brudasza zagrał rewelacyjnie amerykański aktor Ed Harris. W rolę młodzietkiej Anny wcieliła się piękna i utalentowana Diana Kruger. Oboje swą grą oddali naczelne przesłanie filmu Agnieszki Holland: studium muzyki Ludwika van Beethovena i jej znaczenia dla potomnych. W mojej ocenie film jest wspaniały i niewiele ustępuje głośnemu przed laty dziełu Milosa Formana *Amadeusz*.



Kraków bez makijażu

Znam Cię Krakowie od urodzenia. Mojego oczywiście. Kopę lat plus jeden roczek. Początki poznawania skupiały się na Twojej najmłodszej dzielnicy – Nowej Hucie. Oczywiście z biegiem lat to poznawanie obejmowało coraz szersze kręgi.

A teraz? Więcej mam czasu na przemyślenia, ale też i na wędrowki, czasem trochę bez celu. Ot, bilet miesięczny w kieszeń i jadę! Do oporu, czyli do pętli. Moja Nowa Huta postarzała się bardzo jak prosta kobieta nie dbająca o urodę, a i o higienę też niekoniecznie codziennie. Bywa, że prosta kobieta dostaje czasem okolicznościowy prezent – jakąś broszkę, szminkę, apaszkę. Wygląda w tym jak obecnie nieszczęsna Nowa Huta z nieudolnymi próbami odmłodzenia w postaci nowych nielicznych apartamentowców – wybudowanych na uboczu, jakby zawstydzonych, że zakłócają porządek rzeczy. A przecież można zachować klasę bez zdobień, błyskotek, bez pudru, szminki i lakieru. Bez sztuczności. Można pozostać sobą. Godnie. Dbając głównie o zdrowie, niekoniecznie o urodę. Nie poddawać się przeszczepom, liposukcjom, botoksom... Zrezygnować z implantów. Nie myśleć o makijażu. Nie ulegać modom. Prowokować swoim naturalnym wyglądem do zadumy nad upływem czasu, nad nieuchronnością losu.

Mój Kraków bez makijażu to najstarsze części cmentarzy krakowskich: Podgórskiego i Rakowickiego. Tam nie wcisną się krzykliwe reklamy, nie będzie kolorowego tłumy, nie będzie konkursów, pikników, śpiewów, tańców, sztucznych ogni, hałasu... Raz w roku, na początku listopada widać ożywienie: kwiaty, światełka, ale w najstarszych częściach nekropolii z każdym rokiem jakby mniej, skromniej. Powolne dyskretne odchodzenie, usuwanie się w strefę cienia...

To chyba jedyne miejsca, gdzie żaden deweloper, choćby najbardziej operatywny, nie będzie miał pola do działania, bo gdyby tak miało się stać, to oznaczałoby to koniec ludzkości. Myślę, że na razie nam to nie grozi, więc cieszę się, że zmęczona rosnącą atrakcyjnością mojego miasta mam gdzie uciec.

Irina Palm – tytułowa bohaterka

Wszystkie inne informacje związane z filmem – nazwiska reżysera, pozostałych aktorów, muzyka, produkcja, jej rok itd. – pomijam, bo są dostępne. Mnie w filmie poruszył temat do tego stopnia, że mam go w pamięci już kilka lat.

Dlaczego ten film?

Ilekoć spotykam się z problemem braku pieniędzy, drożyzny czy trudności w znalezieniu pracy – zwłaszcza w przypadku ludzi starszych, zwłaszcza kobiet, zwłaszcza tych bez wymaganych kwalifikacji, zwłaszcza tych niespecjalnie przebojowych czy atrakcyjnych, a w dodatku na ich nieszczęście jeszcze bez tzw. kontaktów – przychodzi mi na myśl „moja” bohaterka.

No, i niestety, zdarza się to dość często.

Irina szuka pracy. Znajduje. Miejsce pracy to marnawa mała kanciapa, ciasna i ciemna, wyposażona w taboret i stolik (z ręcznikami higienicznymi, jakimś balsamem czy oliwką i termosem z herbatą albo kawą), ze ścianą z trzema, może czterema otworami o stosownej średnicy, rozmieszczonymi w dogodnej odległości i na różnych wysokościach dostosowanych do wzrostu mężczyzn. Za ścianą anonimowy, niewidoczny mężczyzna. W kantorku ona – Irina, też niewidoczna, wykonująca pracę mającą owego mężczyznę (klienta) zadowolnić, ba! uszczęśliwić, osłabić, uwolnić z napięcia... Atmosfera ciężka, duszna, przepełniona, aż lepka. A Irina pracuje. Ambitnie, z czasem coraz lepiej, zdaje się nawet sprawiać wrażenie zadowolonej z siebie, z tego, że ma pracę, ma pieniądze, że cieszy się uznaniem właściciela lokalu uzyskującego coraz większe dochody, bo wieści o aksamitnych dłoniach „robiących cuda” rozchodzą się szerokim echem i grono klientów dość szybko się powiększa, a zaniepokojona konkurencja próbuje ją podkupić. Ją – Irinę – szarą myszkę, kobietę bez wyrazu, niemłodą, nijaką, prawdopodobnie niespecjalnie adorowaną przez męża (już nieżyjącego), niewykształconą, po prostu niezwykle zwyczajną. Jedyne wnuk okazywał jej serdeczność, była dla niego ważna i kochana. I właśnie ten kilkuletni dzieciak zmaga się z chorobą. Jedyne bardzo kosztowna operacja może mu uratować życie. Rodziców nie stać na pokrycie jej kosztów. Irina musi pomóc wnukowi. Pomoże. Pracuje. Odkłada pieniądze. Jest wystarczająca suma! Dzieciak będzie uratowany!

I to był jej ostatni raz, ostatni dzień pracy.

A mnie zostają pytania: ileż samozaparcia musiało być w tej kobiecie, żeby się zdecydować na tego rodzaju zajęcie? Ile miłości do wnuka, żeby w imię tej miłości robić coś – jestem pewna – wbrew sobie? Ile sprytu i wysiłku, żeby zachować w tajemnicy przed bliskimi i znajomymi sposób zarobkowania, bądź co bądź niezbyt chlubny? Ile siły i de-

terminacji, żeby przestawić psychikę i ustalić hierarchię ważności widząc wytyczony cel – konkretną sumę pieniędzy?
Ile odporności, żeby odrzucić zniechęcenie, a raczej fizyczny wstręt?

I ostatnie pytanie: ile kobiet zdecydowałoby się na podobną akcję?







Cyganie

– O żesz ty... – zakląłam jak rasowy kierowca. Zakląłam tylko w myślach, bo jako kobiecie, ba, damie, nie wypada używać niecenzuralnych słów. Pewnie nawet znać ich nie powinna. Na szczęście znam, więc ulżyłam sobie w duchu i depresja z powodu tłumienia stresów mi nie grozi. I tak, uśmiechając się pięknie – myśli wcale niepięknych nie miałam. A było to tak...

Stałam na skrzyżowaniu ul. Skośnej i ul. Kobierzyńskiej. Z obu stron ktoś postawił wysoki mur i dla ozdoby dodał kilka reklam kompletnie zasłaniając widok na nadjeżdżające samochody. Podjechałam do skrzyżowania tak, aby cokolwiek widzieć. Dzień był piękny, wiosenny, miałam uchylone okno, w radiu ktoś zawodził smętnie o miłości. Spokojnie czekałam na swoją kolej włączenia się do ruchu. Ulica Skośna jest wąska, ale nikt nie miał kłopotu ze skręceniem w nią obok mojego samochodu. Nagle Kobierzyńską z ogromną szybkością nadjechała „wypasiona bryka” z młodym człowiekiem za kierownicą. Przyhamował gwałtownie i klasycznie ścinając zakręt, usiłował skręcić. Niestety, nie zmieścił się. Wycofał, poprawił, zatamował ruch w obie strony. Znowu spróbował. Widać było, że przy tych gabarytach samochodu manewry nie są jego mocną stroną. Wszyscy cierpliwie czekali. Ja też. Kiedy w końcu udało mu się wcelować w wąski przejazd obok mnie, zahamował, otworzył okno i bluznął w moją stronę:

– No k... gratuluję! Baba za kierownicą! Blondynka k....! Naucz się przepisów ty k.... i jak tego jak się zatrzymywać na skrzyżowaniach. Zamknął okno i odjechał.

– O żesz ty... – pomyślałam. Tak oto dostało mi się za niewinność, za głupotę tych od stawiania murów, za to że jestem babą, i jeszcze za blondynki. Stereotyp?

Według danych Biura Ruchu Drogowego KGP w 2010 roku zarzuty popełnienia przestępstw drogowych usłyszało 150 399 podejrzanych. Wśród nich znalazło się tylko 6 328 kobiet, co stanowi zaledwie 4,2%. Aż 95,8% całej liczby sprawców to mężczyźni. Brawura, niedostosowanie prędkości do warunków pogodowych, czy kierowanie pod wpływem alkoholu – to główne przyczyny tragedii, za którymi stoją niezależnie od koloru włosów nieodpowiedzialni panowie. Uważają się za bardziej sprawnych manualnie, ale niestety często przeceniają swoje możliwości. Kobiety są dużo ostrożniejsze. Ale czy to oznacza gorsze umiejętności?

– Czemu stoisz głupia babo?! Jedź! – jakże często słyszą to kobiety siedzące za kierownicą. Czy kobiety są aż tak kiepskimi kierowcami? Policyjne statystyki mówią coś zupełnie innego! „Baba za kierownicą” to tylko mit.

Głupia blondynka. Od urodzenia byłam jasną blondynką, z wiekiem włosy mi ściemniały, a rozumu jakoś cudownie nie przybyło. Stopień „rozumo-głupoty” niezależnie od odcienia moich włosów pozostał ten sam. No i jak ten stereotyp się ma do Skandynawek? Toż one prawie wszystkie jasnowłose. Czy cała ich żeńska populacja miałaby być bezrozumna?

A co sobie wyobrażacie, kiedy słyszycie słowo „Ukraina”? Jestem przekonana, że większość z was zobaczy niekończące się pola pszenicy, żyta i kukurydzy. A teraz – „Ukrainka”. Pierwsze skojarzenie – kobieta, która podejmie każdą pracę za niewielkie pieniądze. „Ukrainiec”? Komu z was Ukrainiec kojarzy się z miłym i szlachetnym człowiekiem? A przecież nie każdy Ukrainiec jest bandytą i nie każda pomoc domowa to Ukrainka.

Każdy Cygan to złodziej – i tu opowiem moją kolejną historię.

Lata 80. Nikt jeszcze nie planował zburzenia muru berlińskiego, w Polsce zakupy robiło się na kartki, a mój mały syn marzył o bananie pod choinkę. Komuna, szarzyzna, brak perspektyw i wiara, że tam, na zachodzie Europy czeka na nas raj. Jako że byliśmy na „czarnej liście”, dostaliśmy paszporty w jedną stronę. Wraz z przyjaciółmi spakowaliśmy się do maluchów i wyjechaliśmy „na zawsze” w świat. Tak naprawdę nie do końca wiedzieliśmy, gdzie jedziemy. Ale nic to, byliśmy młodzi, zdeterminowani, a odwaga i fantazja była w nas okrutna.

Nasi przyjaciele mieli dwoje małych dzieci, które po przekroczeniu granicy niemieckiej dostały wysokiej gorączki. Podróż do zamówionego noclegu wydłużała się i nie mieliśmy szans dotrzeć tam przed nocą. W konserwatywnej Bawarii Niemcy niechętnie udzielali nam informacji i odsyłali w nieskończoność. W końcu ktoś litościwie skierował nas do miejsca, gdzie podobno mieszkali jacyś Polacy. Kilkanaście kilometrów za miasteczkiem stał wielki, samotny dom. Było ciemno, gdzieś około godziny 22. Zapukaliśmy do drzwi. Otworzyła starsza kobieta i zaprosiła do środka. Nagle otoczył nas barwny, rozkrzyczany tłum Cyganów. Była noc, mieliśmy ze sobą chore dzieci, nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy, a przecież każdy Cygan to złodziej! Byliśmy przerażeni. Jakiś mężczyzna poprosił o kluczyki do naszych samochodów. Daliśmy bez protestu. Otaczało nas przecież ze 20 rosnących chłopów. Kobiety rzuciły się do kuchni,

gdzieś w głębi domu trzaskały drzwi, gdzieś ktoś odpalił silnik samochodu. Ruch, zamieszanie. Zaprowadzili nas na piętro, gdzie dostaliśmy do dyspozycji dwa pokoje, łóżka z czyściutką pościelą, ręczniki, kosmetyki. Z boku czekały przyniesione przez kogoś nasze bagaże, na stoliku leżały kluczyki od samochodów. Uff, to chyba jeszcze mamy te samochody.

Po chwili zaprosili nas do jadalni, gdzie stoły uginały się od jedzenia. Po czym podjechał samochód. Okazało się, że przywieziono lekarza do chorych maluchów. Siedzieliśmy, gadaliśmy, tańczyliśmy i śpiewaliśmy do samego rana. Przed wyjazdem dostaliśmy dokładne wytyczne, gdzie mamy jechać i z kim rozmawiać. Dali nam też listy polecające do cygańskich rodzin rozsianych po całym NRF. Na koniec zaopatrzyli nas w rarytasy tamtych lat – banany, soki, mleka w kartonach, słodycze. Nie było mowy o zapłacie, o uregulowaniu rachunku za lekarza. Poprosili tylko o kartki pocztowe z informacją o naszych losach.

Nie każdy Cygan to złodziej.

W czasie niedzielnego obiadu zapytałam syna – syna, który powinien stać murem za swoją rodzicielką, całować ją w rękę i potakiwać na każdym kroku czy pamięta tamtą noc, tamtych Cyganów i opiekę jaką nas otoczyli. Popatrzył na mnie i powiedział:

– Matka, ja to pamiętam troszkę inaczej. Owszem, dali nam mieszkanie, nakarmili, sprowadzili lekarza i tak dalej, ale jeśli chodzi o tę uczciwość, to mocno przesadzasz. Bo kiedy wy bałowaliście z dorosłymi, mnie młodziaki zrobiły szkolenie, gdzie, jak i kiedy można coś zwędzić ze sklepów. Dostałem tam niezłą szkołę.

I tak po raz kolejny sprowadził mnie na ziemię i zepsuł moje piękne wspomnienie o uczciwych Cyganach.

Tak, diabeł tkwi w szczegółach. Diabeł? Szczegóły? No w końcu! W końcu znalazłam coś, co potwierdza się w 100%. Te szczegóły, te wpadki, te przeoczenia, ta szminka na koszuli. Eureka!!! I ostatni stereotyp, który potwierdza się w moim życiu od lat. Wszystkie Ryśki to fajne chłopaki. A zwłaszcza ten z naprzeciwwka.

Najlepszy? Najgorszy? – moje życie z serialami

Jak ja się kochałam w tym Janku. Gdybym tylko wiedziała jak, przefarbowałabym moje pszeniczno-białe włosy na rudo, założyła oficerki i zamieszkała w czołgu. Na szczęście w zakresie farbowania byłam kompletną dyletantką, czołgu nie było w okolicy, a zamiast oficerek mama kupiła mi sandały. Żeby chociaż na psa się zgodzili. W tych latach

wszystkie polskie kundle nosiły szlachetne imię Szarik. Niestety, w domu królował kot Pitula i pies nie miał szans. Historia? Fakty? Wszystko to były nieważne – duperele. Liczyła się załoga. Załoga jak palce u jednej ręki.

Cztery pancerni i pies w reżyserii Konrada Nałęczkiego, według scenariusza Janusza Przymanowskiego był pierwszym serialem w moim życiu. Premiera odbyła się 9 maja 1966 o godz. 20:00.

Na sukces złożył się przede wszystkim fakt, iż po raz pierwszy tematyka wojenna została potraktowana lżej niż do tej pory. Silną stroną filmu była znakomita gra aktorów – nie tylko pierwszoplanowych, ale również tych obsadzonych w rolach epizodycznych. Postacie zostały odtworzone przez aktorów tak sugestywnie, że publiczność traktowała je niemal jak swoich bliskich. Dziś powstało wiele kontrowersji wokół filmu, ale i tak serial niezmiennie plasuje się wysoko we wszystkich plebiscytach na najlepszą polską produkcję wszech czasów. A ja? Cóż, miłość do Janka gdzieś uleciała, włosy ufarbowałam, ale w rudych nie czułam się najlepiej, a od czołgu wolę samochód. Natomiast miłość do butów typu oficerki towarzyszy mi przez całe życie, podobnie jak sentyment do *Czterech pancernych i psa*.

15 września 1967 rok – to data, kiedy po raz pierwszy z ekranu padły słowa: „Kargul, podejź no do płota” i „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie”. Ten serial (1967 *Sami swoi*, 1974 *Nie ma mocnych*, 1977 *Kochaj albo rzuć*) żyje w moim życiu od zawsze i na zawsze. Dialogi z niego znam na wrywki, a te dwa „granaty w świątecznym ubraniu” niejednemu raz ratowały moją psychikę. Oglądałam, oglądam i oglądać będę zawsze. Każda minuta spędzona z Kargulami i Pawlakami to tak jak niedziela z najlepszymi przyjaciółmi.

Najgorszy serial. Rok 1984 – 1985.

Ela psychikę ma delikatną, oczy w mokrym miejscu, a serduszko u niej nie dość, że wrażliwe, to jeszcze troszkę chore. Dlatego nie dała mi wyboru, kiedy pewnego dnia oświadczyła, że nie jest w stanie oglądać tego w samotności i będzie przychodzić do mnie. Trudno. Przyjaźń wymaga poświęceń. W każdy wtorek, kiedy emitowano kolejne odcinki, w Polsce pustoszały ulice. W każdy wtorek po głównym dzienniku Ela z zapasem chusteczek zasiadała u mnie przed telewizorem i już od pierwszych scen zalewała się łzami. I kiedy ten wredny Leoncjo podpalił stodołę, w której znajdować się miała cudnej urody niewolnica Izaura, Ela zaszlochła straszliwie i padła bez życia. Ja, rozdarta pomiędzy niedopaloną niewolnicą a nieprzytomną przyjaciółką, zaczęłam ratować Elkę. Cóż, pomyślałam, pożaru w Brazylii i to pożaru z 1888 roku nie ugaszę. Ratowanie Izaury zostawiłam Brazylijczykom i zajęłam się reanimacją przyjaciółki.

Lekarz z pogotowia zdiagnozował zawał serca. Szpital, leczenie – Elka przeżyła. A ja do dziś nie wiem, czy w dalekiej Brazylii równie skutecznie uratowano Izaurę. *Niewolnica Izaura* to był najgorszy serial, który w życiu oglądałam. Pewnie najgorszy również dla 38 dziewczynek w Polsce, którym w tym czasie nadano imię Isaura.

Dziennik – fragment przedstawiony w 20 zdaniach

Komórka dzwoni o 7.15, od rana staram się zrobić wszystko, aby na czas pojawić się na spotkaniu o 10.00 w Wilii Decjusza. Standardowe czynności konsumpcyjno-ablucyjne szczęśliwie bez niespodzianek. Zaskakuje mnie jednak pogoda – to było do przewidzenia, przecież nigdy nie sprawdzam prognozy. Prasuję białe spodnie, sztruksową marynarkę, doбираю szalik. Dochodzi dziewiąta, jestem gotowa. Dusza śpiewa, nagle przestaje, nie tylko ja w tym domu nie śledzę prognozy. Niepoprawna ulegam samarytańskim uczuciom, zrzucam marynarkę, rozkładam powtórnie deskę, prasuję letnią koszulę. Czas ucieka, autobus też i jest jak zwykle. Wchodząc na salę, staram przeistoczyć się w cień.

Uśmiechy wyrozumienia witają mnie znad stołów, dostaję przypisane mi ksera lektury, moszczę się jak najciszej na krześle, przebiegając wzrokiem tekstu. Już wiem, co mam powiedzieć, zawsze wiem zbyt szybko. Przypomina mi się, jak nauczycielka matematyki zakazała mi się zgłaszać, aby dać szansę innym dzieciakom. Próbuję nie zabierać głosu, nawet nie patrzę w kierunku prowadzącego warsztaty redaktora Olszewskiego. Mój znak zodiaku przepowiada mi jednak porażkę. Słusznie. Mimo zarzekań się, słyszę swój głos mędrkujący na temat Camusa. Na tapecie *Obcy* i znowu w tyle głowy retrospekcje. Odzywają się krajobrazy Algierii, przypląwa fala upału i ostre słońce sjesty.

Z ciekawością śledzę wypowiedzi innych słuchaczy. Próbuję się skupić, niestety niegdysiejsza fascynacja książką czytaną w oryginale, na dodatek w scenerii jej tworzenia, przysłania analityczny odbiór proponowanego fragmentu tekstu. Z niemałym trudem abstrahuję tekst ze znanej całości. Dopiero teraz zauważam to, co umknęło mi w czasie czytania książki. Zastanawiam się, czym kierował się wykładowca przy wyborze tego fragmentu? Niezaprzeczalnie scena rozmowy księdza ze skazańcem jest najbardziej dynamiczna i prowokująca do dyskusji światopoglądowej. Jednak nurtuje mnie pytanie, czy jest uniwersalna?

Mój pokój

Własny pokój był marzeniem przez większość mojego życia.

W dzieciństwie mamusia opisywała mi swój pokój na Kolonii Staszycy w Warszawie, pastelowy z bambusowymi mebelkami oraz kanarkiem. Razem z tym zaginionym światem międzywojnia jej osoba jawiła mi się jak postać z literatury, była kimś z gatunku księżniczek, a ja taki sobie kopciuszek, którego pragnienia realizują się tylko w snach. Osobny pokój, czasem własne nierozkładane łóżko wydawało się poza zasięgiem w przeludnionym mieszkaniu rodem z muzeum Schindlera. By zaznać ciszy do nauki, przekupywałam woźnego w liceum, wtedy pusta klasa stawała się moim pokojem, nawet jej w myślach nie meblowałam, najważniejsza była przestrzeń niezagospodarowana przez hałasy. Nie byłam wymagająca estetycznie i szybko adoptowałam się do miejsc, w których mogłam być sama. Można powiedzieć, że nosiłam swój pokój jak ślimak skorupę. Ściany fizycznie nie istniały, książki, zeszyty, ambicje – to było moje umeblowanie. Teraz w spadku po dzieciach, które założyły swoje gniazda, mam swój pokój. Znoszę do niego wszystkie dobra intelektualne jak sroka błyskotki do dziupli. To jest muzeum, garderoba, biblioteka, pracownia komputerowa, łóżko jakby niepotrzebne, bo szkoda czasu na sen – jest tyle niezakończonych spraw. Mebelki, obrazki, kwiatuszki, już nie potrafię o to zadbać, wyparłam mieszczańską normalność z moich możliwości realizacji, szczerze mówiąc, czasem po wizycie w jakimś wymuskany domu brak mi tego, chyba jednak nie jestem już zdolna do normalności.



Wspomnienie z dzieciństwa

Stoję w drzwiach ganku. Ganek zamiast szyb ma kolorowe szkiełka, prawie jak witraże, co na dzień dobry nastraja lekko, radośnie i optymistycznie. Przede mną widok na boisko szkolne. Czasem obserwuję grających w piłkę, czasem nawet ją odbijam, bo wpada przez parkan. Za siatką od strony ulicy od czasu do czasu pojawia się ekshibicjonista i robi swoje. Nazywa się Olkuśnik. Niespecjalnie go odgania ciało pedagogiczne. Czy im się nie chce, czy to jest mała szkodliwość dla nastoletniej młodzieży? Kto to wie... W wakacje na plac szkolny zjeżdża tabor cygański. Cyganki wróżą, Cyganie ponoć kradną kury. Jest kolorowo i radośnie, bo wieczorem słysząc śpiewy i inne odgłosy ukontentowania powszechnego.

Nie ma już kolorowego ganku ani taboru cygańskiego letnią porą. Ekshibicjonista za siatką tylko we wspomnieniach rodzinnych. *Pantha rhei*.

Z cyklu szczęście: osobnik permanentnie z siebie zadowolony musi być szczęśliwy, nieprawdaż?

[Krótki tekst o wielkiej, spełnionej miłości do samego siebie, czyli trwałego zadowolenia z siebie przechodzącego w samouwielbienie]

Miłość ta ma twarz pana Adama F. Usta jego lśnią (*Jakiegoż to błyszczycyku, czy szminki używa?* – zastanawiał się parę dni temu jeden dziennikarz). Gładkie oblicze starannie obsypane pudrem, fryzura starannie uformowana i przyła-

kierowana, usta tylko nieznacznie skrzywione pogardą dla świata. Deklaracje, że jest dwa poziomy niżej od swojego prezesa, brzmią równie wiarygodnie jak większość jego wypowiedzi.

Zasiada on bowiem, jak domniemywam, co rano przed lustrem ze standardowym pytaniem: – Lustreczko powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy i najmądrzejszy w świecie? Za każdym razem otrzymuje właściwą odpowiedź. Być może zasiada przed lustrem wyłącznie gwoli makijażu i lustreczka nie pyta, bo i tak wie, co ono ma do powiedzenia...

Tu następuje refleksja i w efekcie wierszyk:

Panie Fochmanie, cóż to się stanie
gdy blichtr opadnie, puder opadnie?
Wiesz przecież, czyż nie?
w codziennym trudzie,
jacy są ludzie ...
Panie Fochmanie ...

Typ S.

Stereotyp to jest wstrętny typ. W skrajnej postaci charakteryzują go: tępota, prostactwo, prymitywizm. Wszystko upraszcza, unifikuje, nie toleruje oryginalności, ignoruje detale, nie przyjmuje do wiadomości przypadku i jest bezwzględnym wrogiem indywidualności, czyli nas wszystkich. To czarny charakter. Porusza się wyłącznie po wydeptanych szlakach skojarzeń. Ucieka od niespodzianek i zaskoczeń, „lubi tylko te melodie, które dobrze zna”. Dla niego trawa jest zawsze zielona a niebo tylko niebieskie.

Są wyjątki, zdarzają się stereotypy pozytywne, ale tak naprawdę to jest eufemizm, źle go klasyfikujemy, bo stereotyp pozytywny nie jest stereotypem. Ten prawdziwy stereotyp jest brzydki, okrutny i zły – kropka. Jest wygodnicki, idzie na łatwiznę, ale prze jak taran, by wytwarzać negatywne kulturowe wzorce opinii społecznej. Nieprzemyślane, nieprzeanalizowane, bez logicznego uzasadnienia, nieoparte na faktach. Ma być łatwo, prosto i wygodnie, bo stereotyp nie znosi wysiłku czy pracy, a zwłaszcza umysłowej. Stereotypizacja dotyczy rzeczy, zjawisk a głównie ludzi, szczególnie grup ludzkich. Polega na negatywnym etykietowaniu, przeważnie ze względu na rasę, narodowość, płeć, orientację seksualną, religię, pochodzenie, wiek, zawód, inteligencję, orientację polityczną. Świat jest przepętniony stereotypami. Ten typ jest wszędobylski. To cecha naszej ludzkiej cywilizacji i kultury, mieszka w naszych umysłach. Jest Hydrą, której ciągle wyrasta jakaś nowa, ohydna głowa. Walka ze stereotypami jest beznadziejna dlatego, że narzucają one narrację. Wychodząc od emocji, budują atmosferę lęku przed czymś lub kimś i w ten sposób torują ścieżki myślenia. Walka ze stereotypami jest jednak konieczna a nawet nieunikniona – to sytuacja, w której pozostaje tylko walka. Trzeba ujawniać stereotypy własne i wyciągać na powierzchnię stereotypy innych i trzeba się przygotować na to, że wielokrotnie poniesie się porażkę, ulegnie się i trzeba będzie się poddać; i należy cieszyć się z każdego odniesionego najmniejszego sukcesu.

Najbardziej nie lubię tych stereotypów, które odmawiają innym ludziom człowieczeństwa, a takimi mogą być właściwie wszystkie. Gdy odmawiasz człowieczeństwa innemu, to otwierasz drogę poprzez lekceważenie, pogardę nawet do zagłady. Z przepastnej kolekcji stereotypów wybrałem sobie jako przykład stosunek do chorych umysłowo, ale przypadek wybrał za mnie inny przykład. Trafiłem na niego w gazecie. To szokująca i żenująca informacja o tym, jak w Pырzycach potraktowano kobiety w Dzień Kobiet – pokazano, gdzie ich miejsce. Na specjalnym spotkaniu burmistrz Pырzyc z jeszcze jednym uczestnikiem złożyli paniom urzędniczkom dosyć standardowe życzenia i wręczyli niestandardowe dyplomy, na których był – z założenia pewnie dowcipny rysunek – przedstawiający jaskiniowca, który szczerzy zęby w uśmiechu, w jednej ręce trzyma złamany kwiatek, a drugą wlecze za włosy jaskiniową niewiastę. Więszymi literami napisane są życzenia, które pomijam, a mniejszymi, w rogu znajduje się dopisek, następującej treści:

„Jakie są rodzaje kobiet?

1. Rusałki – ten mnie rusał, tamten rusał.
2. Damy – temu damy, tamtemu damy.
3. Kotki – ten mnie miał, tamten miał.
4. Dziecinne – co do rączki, to do buzi.
5. Chemiczne – rozkładają się w temperaturze pokojowej.
6. Partyjne – przyjmują wszystkich członków.
7. Domatorki – byle komu, aby w domu.”

Panie na szczęście nie puściły sprawy płazem, tylko złożyły na panów skargi do odpowiednich urzędów. Tylko co nie-stereotypowego mogą zrobić z tymi jaskiniowcami?

O niewytłumaczalnym...

Moja matka była czarownicą. Ze wszystkimi zdolnościami. Potrafiła oswajać szczury, czytała z kart. Dochodziło do takich sytuacji, że musieliśmy z ojcem chować te karty przed nią. Szczególnie pamiętam taki spacer za miastem. Przechodziliśmy obok sadu z pasieką. Pan – właściciel pasieki – profesjonalnie ubrany pracował przy ulach. Nagle moja mama powiedziała:

– Nie mogę na to patrzeć!

W tym samym momencie ten pan zaczął wymachiwać rękami i uciekać. Gdybym popatrzyła dłużej, zagryzłoby go... Nawet gdybym zapytała, o co chodzi i tak nie otrzymałabym odpowiedzi.

Miałyśmy tak silne kontakty telepatyczne, że nie mogłam jej nigdy okłamać. Nawet próby pomyślenia i przygotowania wersji „do przyjęcia” – spełzały na niczym. Nie zdążyłam otworzyć ust, a już padały słowa:

– Nawet nie próbuj!

Z dzieciństwa pamiętam zabawę „Zgadnij, kto to!” Otwierałam encyklopedię na dowolnej stronie i na podstawie fotografii miałam odgadnąć, kim jest i czym się zajmuje dany człowiek. Denerwowało ją, że mi się nie udaje. Po pierwszym kontakcie z kolejnym moim chłopcem wyrokowała:

– Z niego nic dobrego nie wyrośnie! I prawie nigdy się nie myliła. Szkoda, że odziedziczyłam po niej tylko zdolność wyszukiwania żył wodnych i pozytywne bioprądy. Używam ich tylko w gronie rodzinnym – i niech tak już zostanie...

Tekst łączący wylosowaną nazwę miasta z również wylosowanym przysłowiem „Chachalnia koło Krotoszyna” i „koryto to samo, tylko świnie się zmieniają”

- Kochanie, ustalmy, kiedy jedziemy na moją „dziadowiznę” – musimy przecież przywieźć ziemniaki na zimę. I ciocia pytała, co nam przygotować z drobiu i czy mają zabić prosiaka.
- To są najdroższe „pyry” na świecie. Wiesz, za ile ja paliwa spalę do tego Krotoszyna? A z prosiaka to ja mogę jedynie schab zjeść.
- A szynki?
- Ostatecznie jeszcze szynki. One też będą najdroższe. Przecież po drodze staniemy na kawę, potem na obiad...
- A mój powrót do korzeni... Tam mam dziadków pochowanych.
- Poddaję się. To w następny weekend. I co to ja mam nastawić w nawigacji?
- Chachalnia. Chachalnia koło Krotoszyna. Dwa razy przez „ch”.
- I tyle tego jechania, żeby zobaczyć, że „koryto to samo – tylko świnie się zmieniają”!

Co nagle to po diable

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Zostali sami z mężem, synuś nocuje u kolegi. Jak cicho... Zaczęła sobie wyobrażać łąkę, po której płąsa ona, Ula, istota przecież filigranowa, wiotka, krucha jak porcelanowa filiżanka, niewysoka i zwiewna. Zbudził ją głos męża:

- Zaraz zadzwonię po policję. Zachowajcie spokój!
- Co się stało?
- Jacyś chuligani dobijają się do drzwi chłopców!

Jerzy, już opanowany, wziął do ręki telefon. Ula w piżamie popędziła do łazienki. Złapała czerwoną kredkę i w pośpiechu wielkim przejechała nią po ustach. Następnie porwała kluczyki i po kilku sekundach znalazła się w samochodzie. „Panie Boże, żeby tylko mi nie wybili tej trójki, którą sobie wczoraj wstawiłam!”. Czuła się jak lwica walcząca w obronie swojego dziecka. Uświadomiła sobie, że z jej gardła wydobywa się wściekły warkot. Przycisnęła pedał gazu. „To nie tu!”. Zawróciła. Po 10 minutach znowu zmieniła kierunek. Za rogiem wreszcie zahamowała gwałtownie. Zgasiła silnik. Błyskawicznie chwyciła za kijki od *nordic walking*. Oba. Cicho zamknęła auto. Zaczęła się skradać. Zamarła w bezruchu, usiłując zidentyfikować odgłosy dobiegające z pobliskiego domu. Odetchnęła z ulgą na widok radiowozu.

Kątem oka spostrzegła sylwetkę zmierzającego ku niej wielkiego człowieka. Pewnie drań chce uciec chyłkiem. A nie-doczekanie! Ścisnęła mocniej kijki. Wydała z siebie ryk walczącego Japończyka i runęła w kierunku olbrzyma. Podcięła mu nogi, walnęła kijkami. Ryknęła po raz wtóry, gdy zwałił się na nią całym ciężarem. Ryknęła po raz trzeci – tylko jakby nieco inaczej, mniej pewnie – rozpoznając w świetle latarni zdumioną twarz swojego własnego męża.

Prezent

Moje okrągłe urodziny – niespodzianka. Salon pełen przyjaciół i znajomych zaproszonych ukradkiem przez męża. Jestem zaskoczona. Gra muzyka, otwierają się drzwi. Widzę sylwetkę kogoś wysokiego, owiniętego w mój obrus i przewiązanego kokardą.

– Rozpakuj – słyszę.

– Czy mogę panią prosić do tanga? – pada z ust eleganckiego młodzieńca, który wyłonił się z okrycia – ukrycia. Był to fordanser. Po kilku tańcach, a w tym była szalona samba, zwierzył mi się, że gdy przyjmował zaproszenie, był mocno przestraszony perspektywą przesuwania po parkiecie statecznej dostojnej jubilatki...

Dwadzieścia dziewięć guzików

Nie wiedziałam, że galowy mundur górnika ma 29 guzików. To na pamiątkę świętej Barbary, ich patronki, która zginęła mając 29 lat. Nie wiedziałam, że skrzyżowany młot i kilof widniejący na czapce górniczej mojego ojca nazywa się kupła. Tyle rzeczy nie wiedziałam, dlaczego? A powinnam. Barbórka była zawsze wielkim świętem w naszej rodzinie. Mój ojciec całe swoje zawodowe życie pracował w kopalni, codziennie zjeżdżał szolą 500 metrów pod ziemię, nawet w niedziele i święta.

Dziś przekonałam się, że nie jest to przyjemny zjazd. Ciasna, metalowa klatka trzęsie się, głośno skrzypi, opadając w dół w całkowitych ciemnościach. Z każdym metrem robi się chłodniej. Z grupą znajomych zwiedzaliśmy kopalnię Guido w Zabrze. Na własne oczy przekonałam się, jak ciężka jest praca górnika i jak odpowiedzialna, bo nieprzewidywalna, niebezpieczna. To nieustająca walka z Matką Naturą.

Szliśmy chodnikami na kilku poziomach przenosząc się w czasie. Przewodnik, pan Mirosław Żur, bardzo obrazowo wprowadzał nas w tajniki pracy pod ziemią. Byliśmy świadkami zmian wprowadzanych wraz z rozwojem techniki. Na szczęście dawno minęły czasy, gdy wykorzystywano zwierzęta: kanarki, które swoim życiem płaciły, informując o obecności zabójczych gazów; konie, które ciągnęły wagony z urobkiem; szczury, które swoją ucieczką alarmowały o niebezpieczeństwie zalania wodą. Prąd elektryczny wyparł oliwne karbitki, taśmy – drewniane taczki i wanny. Do dzisiaj górnicy używają łopat i kilofów, chociaż ze ścianami rozprawiają się kombajny.

Przekonałam się, że tam, 300, 500 czy 1000 metrów pod ziemią potworny hałas uszkadza słuch, pył dostaje się do płuc i uszkadza wzrok, są miejsca, gdzie temperatura jest bardzo wysoka i chodniki, gdzie silne przeciągi wywołują dreszcze. Ale to nic, najgorsze jest to poczucie nieustannego zagrożenia, każdy odwiert, wybuch dynamitu, każde niezaplano- wane pęknięcie ściany może sprawić, że dla górnika będzie to ostatni zjazd, ostatni dzień życia, bo możliwości ucieczki

są niewielkie. Ludzie tam pracujący muszą być nie tylko sprawni fizycznie, ale przede wszystkim silni psychicznie i wyjątkowo odpowiedzialni. Muszą ufać sobie wzajemnie, bo błąd, niefrasobliwość jednego może zabić wielu.

Z wielką ulgą wyszłam z ciemnej szoli na świat zalany słońcem, wciągnęłam ożywcze powietrze i przywitałam śpiew ptaków. Z wielkim wzruszeniem pomyślałam o swoim ojcu, zrozumiałam jego pasję uprawiania ogródka. Nas dzieci nie wtajemniczano w te sprawy, my byłyśmy świadkami wielkiego lęku, paniki mamy, gdy ojciec nie wracał o określonej porze do domu. Najważniejsza była wtedy informacja, że wyjechał na powierzchnię, a telefony w domach były rzadkością. Nas obowiązywała cisza, gdy ojciec spał w pokoju po nocnej zmianie. Życiem codziennym kierowała mama, ale najważniejsze decyzje trzeba było konsultować z ojcem, to on miał decydujący głos w rodzinie.

Po tej wycieczce uświadomiłam sobie, jak wspaiałym człowiekiem był mój skromny, małomówny ojciec, jak bardzo musiał nas kochać, chociaż nie potrafił okazywać swoich uczuć, udowadniał to każdym dniem pracy. Mój ojciec zginął tam, na dole.

Saga

Piękna Willa w parku stała
Seniorów wyczekiwała
Puste kartki smutne były
Długopisy się nudziły
Ogłoszenie zadziałało
I seniorów przywołało
Piękna Willa zachwycona
Słuchaczami wypełniona
Pan Olszewski plan układał
Uczył i zadania dawał
Długopisy podskoczyły
Przytupując zatańczyły
Opisami się bawiły
Ślad na kartkach zostawiły
Pan Olszewski ślad oceniał
A z wrażenia aż oniemiał
Co w seniorach się zrodziło
Smutek w radość przemieniło.

Spotkanie z autorem tekstów omawianych na warsztatach kreatywności uruchamia siłę do zapisów własnych myśli, by wspaniałości chwil pozostał ślad.

Ten kraj jest jak...

Ten kraj jest jak wulkan wypełniony gorącymi emocjami

Ten kraj jest jak skarbonka pełna niepokojów

Ten kraj jest jak naładowany niebezpieczny karabin

Ten kraj jest jak zaprogramowany niewypał

Ten kraj jest jak człowiek chcący wyrzucić z siebie zło

Ten kraj jest jak – człowiek oczekujący oczyszczenia

Ten kraj jest jak uczeń oczekujący wyników egzaminacyjnych

Ten kraj jest jak oczekujący człowiek na spełnienie marzeń

Ten kraj jest jak wyrokujący sędzia, który musi wydać wyrok o wymuszonej treści

Ten kraj jest jak wulkan, który po wyrzuceniu z siebie gorących emocji w postaci lawy pozostaje cichy, spokojny, spełniony, jest To Mój Kochany Kraj POLSKA po stanie wojennym minionego ustroju.

Raz jeden w Cichym Zakątku

[tekst jest relacją z autentycznego wydarzenia]

Nasza droga w Cichym Zakątku to małe lub duże kółko wytyczone pobliskimi uliczkami. Spacerujemy tam kilka razy w tygodniu, od czasu jak mój przyjaciel R. podźwignął się z paraliżu i stanął na nogi. Dla mnie to spacerek zbyt powolny i z lekka nużący, ale dla niego każdy krok to ogromny wysiłek. Pokonywanie schodów i nierówności chodnika to wyzwanie na miarę Orlej Perci i jedyna droga do odzyskania względnej sprawności po ciężkiej chorobie.

Jesteśmy jak Duży i Mały Kościelec, on niegdyś przewodnik tatrzański, ja zwyczajny górski łązik. Znamy się od czasów studenckich wędrówek, które połączyły nas w przyjacielskie koło przed ponad 40 laty. Jeszcze nie tak dawno to on wspierał nasze rodziny jako lekarz pediatra, imponował swoimi badaniami medycznymi, wyjazdami do Włoch. Teraz ja lub ktoś z naszego koła pomagamy mu w rehabilitacji. Również dzisiaj w jesienne popołudnie spacerujemy utartym szlakiem uliczek. R. stawia uważnie kroki, oparty z jednej strony o kulę, z drugiej lekko podtrzymywany przeze mnie. Idziemy powoli, często przystając i kontrolując właściwą postawę. Ten rytualny spacer wykorzystuję do wspomnień i rozmów z nim. Wypytyuję o jego wyjazdy na konferencje do Castel Gandolfo, o spotkania z Ojcem Świętym, o historię Fundacji Pro Humana Vitae, którą założył, o badania w zakresie immunologii.

Mijamy właśnie kolejny domek i młodego, na oko kilkunastoletniego chłopaka, który spaceruje w tę i z powrotem przed furtką. Doktor R. zna tu wszystkich i nie widzi powodu, dla którego chłopak tu na coś czeka:

– Jak myślisz, co on tu robi? – pyta R.

– Pewno czeka na dziewczynę, może nie chce dzwonić – szybko odpowiadam, chcąc wrócić do tematu.

– A ja myślę, że ma jakiś problem, jest jakiś dziwny... i w płaszczu, nie w kurtce?

Zlekceważyłam tę uwagę, drążąc temat wyjazdów do Włoch, ale R. przeszedł do analizy problemów dzisiejszej młodzieży:

– Brak wzorców, a raczej za dużo negatywnych, brak autorytetu ojca, matki, rozchwiana osobowość, niestawianie granic i wymagań, itp. itd. – odpowiadam zdawkowo, trochę znudzona tematyką tak obecną w publikacjach i mediach. Ale dzisiaj rozmowa wyraźnie się nie klei. Kierujemy się w wąską uliczkę, w stronę domu, powoli zaczyna się zmierzchać. Wlecemy się noga za nogą, co parę metrów przystajemy.

Słyszymy przyspieszone kroki. Mija nas niedawno widziany chłopak, spod kaptura nie widać jego twarzy. Wyprzedził nas o dobre kilka metrów. Nagle odwrócił się i rozchylając zamaszystym ruchem poły płaszcz wyjmując coś, co wygląda jak rewolwer i trzymając go w obu dłoniach krzyczy:

– Pieniądze albo życie, bo strzelam! W pierwszej chwili oniemieliśmy. Ta scena była żywcem wzięta z filmu! Ten ruch, ten płaszcz, tu, na tej pustej drodze 100 metrów od domu? I nagle oboje wybuchnęliśmy głośnym śmiechem! Słyszę jak R woła:

– Jak ja ci tym kulasem przyłożę! A ja zupełnie zmienionym grubym głosem:

– Ale se babkę i dziadka do rabunku znalazł! Ja nawet torebki nie mam. Cha, cha, cha!

Chłopak stał jeszcze przez chwile oszołomiony naszą reakcją i czmychnął. A my? Dopiero teraz poczuliśmy falę gorąca i zdenerwowania, dopiero teraz z nerwów zadrżały nam łydki. Przecież ta nasza codzienna droga mogła być równie dobrze drogą ostatnią. Po chwili wróciła jednak duma z odniesionego zwycięstwa. Po powrocie do domu próbowaliśmy odtworzyć to wydarzenie, które przed naszymi oczami przewijało się jak sekwencje filmu. Jedno, co się w tym filmie nie zgadzało, to czas oczekiwania na „wsparcie” policji. Około 45 minut dzwoniliśmy na różne numery – bezskutecznie! O naiwni!

Posłuszna reklamie „Powiedz rakowi wspan” biegnę do przychodni.

A tam gęba w ramce okna mówi mi:

– Czyżby chciała się Pani przebadać?

– Tak – odpowiadam.

A gęba :

– Dobrze, ale najbliższy termin za półtora roku!

– Ależ ja nie dożyję! – protestuję bezskutecznie. Połykam chińskie pigułki, łyżę dopycham eklerem i piszę do ministra:

– Panie Arłukowicz, powiedz ZUS-owi wspak! Niech odda mi moje pieniądze! Bo ZUS ma na reklamę, a mnie trza na trumnę!



Zjawiska paranormalne i nadprzyrodzone w moim doświadczeniu

Punkt widzenia

To było bardzo wczesną wiosną, panowała w domu epidemia dziecięcej choroby – odry. Średnią dopadła ostatnią, ale żeby się zakończyć, musiała właśnie mnie pogrążyć w ponad czterdziesto stopniowej gorączce. Wszyscy patrzyli bezradnie, a ciotka zmuszała mnie do ssania cukierka z miodem, co miało w gorączce pomóc. Zmęczona tym wszystkim chciałam gdziekolwiek się schować, skulić, odejść. Pewnie siłą tego pragnienia znalazłam się w górnym rogu pokoju, i spokojnie już patrzyłam na siebie rozgorączkowaną, leżącą w łóżku. Potem straciłam przytomność. Po kilku dniach, gdy wreszcie usiadłam o własnych siłach, była już prawdziwa wiosna – z zieleniejącą trawą i ciepłem słońca, ciekawie zaglądającego do pokoju.

Już jako dorosła powtórzyłam manewr opuszczania swojego ciała, w którym było mi bardzo niewygodnie z powodu koszmarnego bólu w czasie ataku kamicy nerkowej. Patrzyłam głównie na gołe, zgrabne nogi, zastanawiając się do kogo one należą, by wreszcie zdziwić się, że to ja siedzę tam na dole – zemdlałam.

Iluminacje

Mam trudności w ich opisywaniu, mój język, a i fantazja słowotwórcza są zbyt ubogie. To było w znanym mi dobrze środowisku życzliwych lekarzy. Po trzech dniach prób wyjścia na świat przez moje dziecko, któremu nie miałam już siły pomagać, akcja jego serca nagle zaczęła słabnąć. W powstałym zamieszaniu pamiętam metalowy turkot kółek łóżka, na którym wieziono mnie, biegnąc do sali operacyjnej. Ostatnie słowa, jakie usłyszałam to moje: „cztery” i lekarza: „ależ ona już śpi!”. Znalazłam się wewnątrz obrazu, którego centralną postacią był siedzący, stary, białowłosy mężczyzna, owinięty w jasne, luźne szaty. Stojąc/klęcząc (?) niżej, wpatrywałam się w jego jasną twarz i nieoczeki-

wanie uświadomiłam sobie istotę mądrości. Usłyszałam słowa: ma pani syna i drugim uczuciem, które mną owładnęło, była wszechogarniająca, absolutna Miłość. Rozpłakałam się, czerpiąc to uczucie zachłannie jakbym wiedziała, że przyjdzie mi tylko z tego, co zdołam zatrzymać, korzystać przez długie lata. Personel, z lekarzem włącznie, był wzruszony; Kobiety miały zapłakane oczy, a mnie nadal towarzyszyło transcendentne doznanie miłości. Tymczasem jej starcza, by żyć.

Czarodziejka

Koniec lat 40., codzienna droga do stacji kolejowej, by dotrzeć do szkoły w Krakowie i strach spowodowany krążącymi wszędzie wspomnieniami o okrucieństwie żołnierzy w uszankach i kufajkach, pijanych gwałcicieli, poszukiwaczy alkoholu pod dowolną postacią. Jest wczesny ranek. Wychodzę z domu. W rękach mam miednicę z czystą wodą. Nagle widzę dwóch mężczyzn w uszankach, wykrzykujących coś w moim kierunku. Wyganiają szybko siostrę do domu, wyrzucam lód z miednicy i chronię się też w domu, przekręcając klucz w drzwiach. W oknie werandy rozwścieczone twarze żołnierzy. Wywalają drzwi i podchodzą do łóżka, w którym leży ojciec, grożąc mu podcięciem szyi brzytwą, jeśli nie ma w domu alkoholu. Nagle do pokoju wchodzi matka, w szlafrocжку w Japonki z parasolkami. Macha rękami kimona. Wszystko znika, a ja budzona przez rodziców od dłuższej chwili uświadamiam sobie, że to tylko sen. Ten został jednak uznany za proroczy i ani ojciec nie poszedł do pracy, ani nam z siostrą nie pozwolono jechać do Krakowa. Mimo wiary w czarodziejską siłę naszej matki.

Myśli mężczyzny po przebudzeniu

Męczyzna istota nieznana. Rozmijam się z męskim myśleniem, domyślać się ledwie mogę, o czym myśli już obudzony, ale jeszcze w momencie przebudzenia? Może to samo co kobieta, tylko dosadniej, prościej: już czwarta? (górnik); jaka pogoda? (rolnik, rowerzysta); gdzie te okulary? (okularnik); kawa! Jak dobrze, że ona już wstała (męczyzna w związku); czy dojdę... (stary, ze słabym kranikiem); K...! (dosadnie) znów zaspąłem (sąsiad za ścianą)...

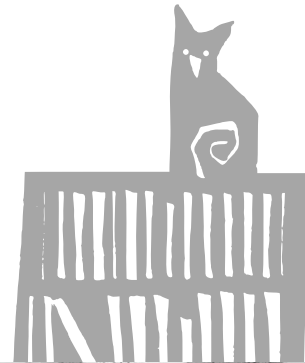
Gdybym była mężczyzną... zachowywałabym się tak, jak mój ojciec, który nie krępując się dziećmi uwielbiał mamę każdym słowem i gestem, co nie przeszkadzało mu, m.in. oczekiwać na podanie posiłku. Sam, nawet głodny, nie ukroił kromki chleba, bo miał w domu cztery kobiety.

Na ulicy patrzyłabym kobietom w pierwszej kolejności na nogi, potem na piersi, a u starszych interesowałyby mnie ręce – zapisana w nich historia i ich stosunek do życia.

Ulubione buty

Kupowanie tych butów było czymś wyjątkowym. Po raz pierwszy spotkałam ekspedienta, który wyraźnie kochał to, co robił. Ułożył przede mną kilkanaście par butów i zalecił przymierzenie każdej z nich oraz przespacerowanie się w niej pod jego czujnym i fachowym spojrzeniem. Pierwsze z nich wydały mi się od razu tymi wymarzonymi, ale posłusznie wykonałam program zlecony przez tryskającego humorem ekspedienta. Były to buty *trekkingowe*, skonstruowane tak, że każdy wykonany w nich krok zmuszał wręcz do wykonania następnego. Przy chodzeniu w nich moje ciało wprawiane było w lekkie kołysanie a nogi zmierzały do przodu z lekkością, jakiej nie doświadczyłam w innych butach. To były buty do chodzenia wyłącznie do przodu! Gdy na koniec owej prezentacji sprzedawca zapytał o mój wybór, wskazałam na te, które stały się moją „miłością od pierwszego spojrzenia”. Jego uśmiechnięta dotychczas twarz, spochmurniała.

– Poniosłem klęskę – rzekł. – Wybrała pani najtańsze buty...



Jak Matyjaszek poznał historię kopalni Guido – przypowieść bajkowa

Niedzielne popołudnie. Zza firanki jasnowłosy chłopiec spogląda na ulicę. Nikogusieńko. Ani ludzi, ani psa, ani kota. Deszcz leje jak z cebra i wszyscy pochowali się przed ulewą. Granatowo-czarne chmury groźnie toczą się po niebie. Brrr! Zimny dreszcz przebiegł po plecach.

– Dziś nici ze spaceru – pomyślał chłopiec. Odwrócił się gwałtownie i podbiegł do kaflowego pieca. Przykleił się plecami do niego i już po chwili przyjemne ciepło rozplątało się po całym ciele. Spojrzał w głąb pokoju. Tata siedział w swoim ulubionym fotelu zagłębiony w lekturze.

– Tatusiu!

Mężczyzna zza okularów, opuściwszy na kolana książkę, spojrzał na syna.

– Chłodno ci? – zapytał. Zaraz dorzucę węgla do pieca. Wstał i podszedł do wiaderka. Szufelką nabrał kilka bryłek węgla, otworzył drzwiczki i wrzucił jedną, potem drugą i trzecią. W piecu zaskwierczało, zamruczało, kilka wesołych iskierek wesoło wyfrunęło i opadło na metalową płytkę pod piecem. Mężczyzna zamknął pierwsze drzwiczki, te z otworkami, przez które widać było tańczące płomyki ognia, siadł w fotelu i powrócił do czytania.

– Tatusiu... Mężczyzna pytająco popatrzył na chłopca.

– Cóż, widzę Matyjaszku, że przykro ci, że nie pójdziemy na spacer. Nie martw się, dziś się deszcz wypada, a jutro wyjdzie słońeczko i będzie piękna pogoda. Chodź do mnie, opowiem ci coś. Chłopiec jednym susem znalazł się przy ojcu i wdrapał się na kolana.

– A o czym będzie bajka? – zapytał.

– Tym razem opowiem ci prawdziwą historię. Jak wiesz, twój pradziad a mój dziad był górnikiem. Dziadek Franciszek przychodził do kopalni na szychtę i zjeżdżał szolą pod ziemię.

– A co to jest szola? – zapytał Matyjaszek.

– My mieszkamy na trzecim piętrze i zjeżdżamy na parter...

– Windą! – wykrzyknął chłopiec.

– Tak, windą – potwierdził ojciec. – A górnicy na dół zjeżdżają windą nazywaną klatką szybową lub szolą. Dawno temu kopalnię założył hrabia Guido Henckel von Donnersmarck. I od jego imienia kopalnię nazwano Guido. Otóż ten hrabia miał na dole swoją stajnię. Na koniu objeżdżał kopalnię, nadzorując pracę górników. Pod ziemią były jeszcze stajnie dla 40 koni. Kiedy 20 koni odpoczywało, pozostałe 20 zaprzęgano do wagoników, którymi wywożono węgiel z wyrobisk.

– Taki sam jak nasz, który się pali w piecu, aby było cieplutko?

– Tak, taki sam, synku.

– A konie takie same jak u wuja Gienka na wsi?

– Nie, konie sprowadzane były z Irlandii. To konie rasy *hunter*, ciężkie, krępe. Mają dużą głowę, krótką szyję, grzbiet mocny, kończyny solidne z dużymi masywnymi kopytami. Konie tej rasy cechuje odwaga i inteligencja. Są bardzo wytrzymałe. Pod ziemią hodowano też kanarki. Żółtozielone i brunatnoszare ptaszki, bo dzięki nim górnicy wiedzieli, kiedy ulatnia się gaz – bezbarwny i bezwonny metan bardzo niebezpieczny dla człowieka. Na dole również zamieszkiwały szczury żywiące się okruchami ze śniadań górników, a nierzadko i całymi ich śniadaniami. Gdyby zaczął ulatniać się gaz, szczury zaczęłyby uciekać, dając sygnał ostrzegawczy ludziom. Zwierzęta i ludzie żyli w przyjaźni pod ziemią. Górnicy wykonywali bardzo ciężką i niebezpieczną pracę. Od 1954 roku nie wolno już w kopalni wykorzystywać koni ani ptaków. Jedynie szczury dalej zamieszkują dolne chodniki, ale już „na własną odpowiedzialność”. Do kopalni wkroczyła technika, elektronika, komputeryzacja, ale nadal najważniejszy i niezastąpiony jest człowiek – górnik. I nadal skarbnik, siwobrody starzec, dobry duch śląskich kopalń chodzi z górniczą lampą, rozświetlającą ciemność na dole i strzeże skarbów ukrytych pod ziemią.

– Jakich skarbów? – z wypiekami na twarzy zapytał Matyjaszek.

– Skarby to cenne czarne kamienie, które zwą się węgiel kamienny. Ta kopalnia, w której pracował nasz dziad, już jest nieczynna, przekształcono ją w muzeum. Jak piszą we wszystkich folderach, to unikatowy na skalę światową za-
bytek techniki górniczej udostępniony dla turystów.

– To my możemy ją zobaczyć?

– Tak, chciałbyś?

– Tak, bardzo, tatusiu. Kiedy pojedziemy do kopalni?

– Może w najbliższą niedzielę? Co ty na to?

– Tak, tak. I-ha-ha-ha – naśladowując rzenie konia, chłopiec pogalopował w kierunku drzwi.



Zgniłocha

– Dziś w naszym cotygodniowym programie, z cyklu „Dziwne miejsca – dziwni ludzie” rozmawiamy z panem Wincentym Jajczarem, najstarszym mieszkańcem wsi Zgniłocha, w województwie warmińsko mazurskim.

– Panie Wincenty, proszę nam powiedzieć, skąd wzięła się nazwa waszej miejscowości – ZGNIŁOCHA?

– E, panie, my tu tej zgnilizny dawniej nie mieli, syćko bez tych łobieżyświatów, co to jo do nas zawlekli... NOGI Z ŁACH my się zwali przódy.

– ...?

– Ano, było tak. Jakisik gościu, co to w rolnictwie majstrował, sukął jakowyś łojcowizny, co to mu pono brat łodebrał... Całe ze jeziora poobjezdzał dokoła nime tu trafił. A był tu taki, co to grunta miał ładniuśkie – Zyziu Szprotawy, a tamten zaś – Cysiu z Warszawy tak go zachodził, papiry, metryki pokazywał, bajerował, namolił, ze Zyziu pono brata rozpoznał. Popili się z tej uciechy, co to niby po latach bracia się zysli.

– „OBIEŻYSZ PÓŁ ŚWIATA, PÓKI ZNAJDZIESZ BRATA”. Cha! Cha! Takie powiedzenie panie Wincenty. I co było dalej?

– Tamten powiada, ze na gruntach reformy porobi, ze zacofani my, a ón metody zna, u Chincyków terminował na ryżu, a tu dla łodmiany na zbożu porobi eksperymenta...

– A brat, to znaczy pan Zyziu... Zgodził się?

– A cymu ni? Dyplumy miał, to mu łojcowiznę dał... Panie, jakie ón tu cudeńka wyprawiał na tym zagonie! Najsam-pierw, ziarna pomiesoł i poobsiewoł, a zaraz po tym pozalewał wodą z tego tamuj jeziora... Ze to Chincyki tak robią panie, syćko co było, to zgniło!!! ZGNIŁOCHA się taka porobiła panie... I tak juz ostało.

– To ZAGNOIŁ, OCH!

– Zagnoił, och! Zagnoił... A jesce w gminie nazwy nam pozamieniali. Jajcarze my byli z dziada pradziada, a tera na Zbuki wysli! I tak ostało...

– Dziękuję za ciekawą rozmowę, panie Wincenty... ZGNIŁO, CHA! Cha! Cha! Przepraszam Państwa, ale nie mogę się powstrzymać...

Za tydzień odwiedzimy miejscowość JĘCZYDÓŁ – w powiecie stargardzkim.

Proszę być z nami!

PKP – a konieczność fizjologiczna

W latach 70. ciocia z Kanady podróżuje polską koleją. W wagonie ścisk, na korytarzu koczują podróżni, pomiędzy nimi bagaże i wrzeszczące dzieci... Ona – „uprzywilejowana” w przedziale. Przed nią tabliczka z napisem: „PASAŻERÓW UPRASZA SIĘ O NIE WYCHYLANIE SIĘ Z WAGONÓW!”. Nagle, odzywa się „fizjologiczna konieczność”, a wraz z nią przerażenie – TOALETA NA KOŃCU KORYTARZA!

– Dojdę, choćby „po trupach”! Ciocia podejmuje heroiczną decyzję i torując sobie drogę parasolką, dzielnie walczy z oporem żywej materii, a rozwinięty zmysł węchu jak radar naprowadza ją na cel...

Raptem potyka się o czyjeś nogi, wystające z kabiny i jak długa pada na... „ululanego” faceta, który z głową na sedesie broni dostępu do „twierdzy”. Wtedy „odpuściła sobie”...

Bohaterowie codzienności według seniorów z Krakowa i okolicy

Jesienią 2012 roku w krakowskiej Willi Decjusza rozpoczęły się warsztaty kreatywności literackiej „Saga” dla osób po pięćdziesiątce. Odbyły się już trzy edycje tych zajęć.

Starzy lubią snuć opowieści. Zresztą co mają do roboty? Warsztaty w Willi Decjusza były kapitalnym pomysłem dla tych senierek i seniorów, którzy swoje historie przeżyte czy też wyimaginowane pragnęli ująć w przejrzystą i ciekawą formę. I poszły te osóbkki w słusznym wieku do szkółki w pięknych wnętrzach willi na zajęcia z paniami młodszymi od swych uczniów o całe pokolenie, a może nawet i półtora. I chwała te panie swoich wychowanków. Nie dokazywali, bo już czasy brykania należą u nich do przeszłości. Rzecz jednak nie dotyczy kłopotów wychowawczych, z którymi borykają się pedagodzy, zwłaszcza w dzisiejszej dobie. Joanna Pawluśkiewicz, pisarka, scenarzystka, autorka powieści *Pani na domkach* i *Telenowela* opiekowała się grupami „proza”. W wydawnictwie Willi Decjusza *Bohaterowie codzienności*, podsumowując swoje wrażenia z warsztatów, napisała: „Saga jest dla mnie jedną z najciekawszych przygód pisarskich, jakie przeżyłam. W dobrej i zaskakującej atmosferze czuję się odbiorcą historii, emocji i doświadczeń uczestników Sagi. To jest świetne uczucie jednocześnie uczyć się i być uczoną”.

Bohaterowie codzienności zawierają teksty wyróżnione w konkursie oraz niektóre prace powstałe w trakcie warsztatowych zajęć. Codziennosc nie kojarzy się z bohaterstwem. Ale to tylko pozór. Każde zmaganie się z przeciwnościami losu niesie bohaterskie wezwanie, choć do sukcesów medialnych się nie zalicza. Pani Urszula, jedna z autorek wybranych tekstów do bohaterstwa codzienności emerytki zalicza ciągle nasycanie codzienności, do którego napędza ją neuroza czasu wolnego. Starzejącą się starość włącza w krąg jej codziennych bohaterów. Pan Krzysztof wspomina Jarka, kolegę z dzieciństwa, o którym wtedy powiadał, że to fajny chłopak. W 1947 roku chcieli się zabawić znaleźskim w kształcie jaja. I wybuchło. W wyniku eksplozji Jarek – fajny chłopak, stał się kaleką bez rąk. Dla pani Anny M. bohaterem codzienności był jej ojciec, który był więźniem, który przeżył obóz koncentracyjny, uczył w szkole, pro-

wadził chóry dziecięce, pracował w polu i miał pasiekę. I wreszcie pośród prac nie mogło zabraknąć motywu matki – fenomenu codzienności. Według pani Anny N. współczesnymi madonnami są Lana, Wiga i Ilona – matki bardzo chorych dzieci od urodzenia. Heroiczna opieka nad tymi biedaczkami stanowi dla nich sens i treść życia. I jeszcze z tej serii wzrusza tekst Anny W. pod tytułem „Zielone filiżanki”, o więzi między matką a córką. Przez całe życie córki, powtarza się refren jej pożegnania z mamą: „– Pa mamusiu”, „– Pa córeczko”. I jeszcze jeden motyw się powtarza. Zielone filiżanki. Z nich zawsze piją zieloną herbatę, kiedy sobie gawędzą serdecznie. I ostatnia scena na cmentarzu. Córka w czerni zamiast zniczy kładzie na grobie dwie zielone filiżanki. „– Pa mamusiu”.

W *Bohaterach codzienności* zamieściła swój komentarz także pani Katarzyna Kubisiowska, dziennikarka „Tygodnika Powszechnego”, która na warsztatach opiekowała się grupami „media”. „Pisanie porządkuje bałaganiarski świat, daje wgląd w sprawy dotąd spowite kompletną głuszą, puszcza w ruch wyobraźnię i pozwala, może to najistotniejsze, na konfrontację z samym sobą. Teksty publikowane w tej książce są dowodem na to, że spotkanie ze słowem może stać się jedną z ciekawszych przygód w życiu”. Książka *Bohaterowie codzienności* ma niski nakład, jej wersja drukowana przeznaczona jest dla uczestników warsztatów. Można jej treść przeczytać na stronie internetowej projektu: www.saga.villa.org.pl.

A kto w słusznym wieku chciałby w Krakowie poćwiczyć się w sztuce pisania, niech puka do Willi Decjusza, bo tam już się przygotowują do czwartej edycji warsztatów kreatywnych.

Starość zaczyna się...

Och, ile razy wydawało mi się, że ona już się zaczyna.

Kiedy okazało się, że muszę nosić okulary i to nie tylko do czytania, prawie wpadłam w depresję i myślałam, że to już starość. Potem jednak uznałam, że tak zaczyna się druga młodość.

Po kilku latach, kiedy zbyt poczułam kolana, prawie się załamałam, myśląc, że nie będę mogła chodzić po górach. No, ale przecież są zabiegi, smarowidła, więc podkurowawszy się, uznałam, że to dopiero wiek średni.

A po przejściu na emeryturę poczułam się na tyle młodą seniorką, by próbować realizować niespełnione dotychczas marzenia o zwiedzaniu świata, bywaniu w ciekawych miejscach, z ciekawymi ludźmi. Wzorem bohaterów znanego filmu o aktorach seniorach ze Skolimowa powiem więc: „Jeszcze nie wieczór”.

Poetyckie impresje.

Słoneczny żar
Spił całą materię pejzażu.
Zamiast dachów – czerwone płaty
Spadają na plamy bieli
W wachlarze cieni
Rozprysnęły się korony drzew.
Z traw pozostały tylko
Rozfalowane zielone smugi

Niebieskomleczna szarfa, co była rzeką.
Pulsuje skrami światła.
Nad nią w zmrużonych oczach
Kołysze się srebrna skakanka –
Były most.

Na plaży

Czas rozpuścił się w upale
Przestrzeń rozplynęła
W potopie światła.
Królestwo względności
Złotą mgłą
Zawisło nad plażą.
Snują się po niej
Jego czciciele.

W drodze do Grecji

Rozfalowanymi wzgórzami
Za horyzontu
Wyływają wyspy
Poblękitniałą zielenią
Wznoszą się na palcach.
Białe domy
W akcie koronacji
Pełnią słońca
Hymn o Itace śpiewają.

Wagary

Według „Słownika języka polskiego” wagary to samowolne przebywanie ucznia poza szkołą podczas obowiązkowych zajęć szkolnych. Nie chodziłam na wagary. Nie czułam takiej potrzeby. Nie było to dla mnie nic szczególnego. Nie mogę powiedzieć, że szkołę nadzwyczajnie lubiłam, ale planowane, celowe opuszczanie zajęć nie miało dla mnie najmniejszego sensu i nie było dla mnie przyjemnością. Jest tak do teraz. Zamiast wagarów niemal od zawsze chciałam mieć części zamienne dopasowane do mojego ciała. Ze dwie pary dodatkowych rąk i nóg. Jakies trzy pary zamiennych oczu i uszu. I jeszcze ze dwie głowy. Cóż by to była za radość odkręcić te zmęczone, bolące, niezręczne kończyny, położyć w szufladzie – niech odpoczną – a wkręcić świeżutki, chętny do działania. A głowa? Niechże poleży, zresetuje się, ubogaci, napełni radością, okrzepnie, a ta druga, świeżo wkręcona radośnie pracuje, kreuje i tworzy dalej. Myśli są bystre, wybory trafne, słowa celne. A kiedy takie przestają być – wymieniam.

Podróże małe i duże – wspomnienia

Jestem w Kalifornii. Autostrada nr 0 wije się nad samym brzegiem. Po lewej stronie ocean, po prawej góry. Ciepły, słoneczny dzień. Powietrze świeże jak sok z natki pietruszki. Zatrzymujemy się. Zbiegam na plażę. Zrzucam sandały. Zostawiam ślady bosych stóp na piasku. Zanurzam się w Pacyfiku. To pierwsze moje z nim spotkanie, więc wołam z radości:

– Jestem obywatelką świata!

On srebrzy się w słońcu. Fala zmyła moje ślady, ale byłam tam. Byłam!

Jarzębina rosnąca na brzegu wyciąga do nas gałęzie z poczerwieniałymi już gronami jagód. Sierpień. Upał, lekka bryza i niebo kiczowato niebieskie. Wsiadamy do kajaka i ruszamy na drugi brzeg jeziora Święcajty. Radość. Kropelki wody spod wiosła spadają na rozgrzane ramiona. W połowie trasy zawiąło mocniej. Po chwili niebo pociemniało, wiatr przerodził się w wicher, jezioro zdziczało i wierzgało jak koń w „Szale”. Boję się, drzę. Byle dopłynąć do szuwarów. Fale przelewają się nad nami. Nadludzki wysiłek i strach. Udało się. Wśród szuwarów jest spokojniej. Wyciągamy kajak na brzeg. Jest taka pora dnia, którą lubię najbardziej. To przełamanie, kiedy dzień gaśnie a noc jeszcze nie zapadła. Podróżuję wtedy w gęstwinie własnych myśli. Przypominam, marzę, oceniam, doceniam. Zawieszam się i trwam.

Jeszcze sen. Lubię śnić. Ech, jakież to są podróże. Czasem nie chcę się obudzić. Zaciskam powieki, żeby sen zatrzymać. Czasem otwieram oczy i cieszę się, że to był tylko sen. Życzę wszystkim kolorowych snów.

Moje wymarzone niespełnione wakacje

Jeszcze wymarzone wakacje chciałabym spędzić na Islandii. Kąpać się w gorących źródłach, zobaczyć dziką przyrodę. Puste tereny i dziwny krajobraz. Marzę też, żeby odwiedzić Japonię. Zwiedzać stare Kioto, tamtejsze piękne ogrody i oczywiście Złoty Pawilon. Również niespełnione wakacje to pobyt w Nowym Jorku, na Manhattanie. Chciałabym zobaczyć uliczki znane z filmów Woody'ego Allena czy innych amerykańskich seriali. Wypić kubek amerykańskiej kawy na Times Square. Poza tym marzę, by pojechać nad Bajkał. Są to tereny oddalone od cywilizacji. Tam woda jest przezroczysta nawet do 40 metrów. Chciałabym w niej pływać. Spędzić nad jeziorem jakiś czas, mieszkać w drewnianej chacie pomalowanej na niebiesko z zielonymi okiennicami. Spotykać w lesie – tajdze: sarny, jelenie, dziki, niedźwiedzie, wiewiórki, sobole, rosomaki, lisy, renifery, łosie, rysie, łasice, piżmaki, zające, a białe foki w jeziorze. Ale najbardziej zależy mi, żeby poznać osobiście każdego z 340 syberyjskich tygrysów. Poglaskać je i przytulić.



Magiczny Kraków

Na hasło „magiczny Kraków” w wyszukiwarce *Google* na pierwszym miejscu pokazuje się oficjalny serwis miejski miasta Krakowa w internecie. Widzę w tym pewną sprzeczność, bo skoro oficjalny, to na pewno nie magiczny. Władze miasta skwapliwie wykorzystują to szczególne określenie i te cechy Krakowa, które na pewno nie mają nic wspólnego z oficjelami, a nawet powstały na skutek opozycji lub przynajmniej niechęci wobec władz miasta i całego kraju. Tak na przykład jak było to z Piwnicą pod Baranami.

Ale magia Krakowa zaczęła przecież powstawać już kilka wieków temu.

Tworzyli ją wybitnie uzdolnieni ludzie: architekci, artyści, twórcy kultury no i niektórzy władcy też – trzeba przyznać. Dla mnie osobiście magia Krakowa jest bardzo płynnym i nieuchwytnym określeniem. Myślę, że każde stare i piękne miasto ma swoją magię. Wychowałam się na dalekich przedmieściach Krakowa i każda wyprawa „do miasta” była niezwykle ciekawa i atrakcyjna, nawet gdy celem był tylko zakup butów czy płaszczka.

Najbardziej magiczny dla mnie był zawsze Rynek Główny. Moja mama lubiła robić zakupy odzieżowe w domu towarowym na rogu Wiślniej i Anny. Potem zwykle szłyśmy przez Rynek i Floriańską na Stary Kleparz, aby kupić coś absolutnie świeżego i dobrego do jedzenia. Obarczone zakupami wracałyśmy tramwajem nr 8 do Borku Fałęckiego, a ja z okien tramwaju oglądałam interesujące mnie niezmiennie magiczne widoki. Pamiętam ścianę i narożnik Kaplicy Myszkowskich kościoła Dominikanów, o którą nieomal ocierał się tramwaj jadący w kierunku Placu Wszystkich Świętych (i nadal się ociera). Następnie fasada kina Wanda z niezwykle bajkowym malowidłem nad wejściem. Potem zakręt pod Wawelem i magiczny właśnie widok na zamek. Dwa przystanki dalej Plac Wolnica z ciekawym budynkiem byłego ratusza kazimierskiego. Za chwilę przejazd nad Wisłą mostem Piłsudskiego z pięknymi metalowymi konstruk-

cjami. No a potem Podgórze – już mniej ciekawe. Dopiero teraz, w XXI wieku, centrum Podgórza dołącza do magicznego miasta.

Dalsze peryferie miasta już za obecnym rondem Matecznego były raczej szare i nudne.

Ale okolice ronda, dawniej zwykłego skrzyżowania, były jednak ciekawe z powodu pobliskiego zakładu przyrodoleczniczego. Chyba jeszcze rodzice opowiedzieli mi o Antonim Matecznym, który około 1900 roku odkrył tutaj źródła wód mineralnych o dużej zawartości siarki. No i pan Mateczny zbudował w tym miejscu zakład kąpielowy. W latach 90. korzystałam z dobrodziejstw tego zakładu. Wydaje mi się niezwykłym fakt powstania nieomal sanatorium na obrzeżach miasta i to w jego przemysłowej dzielnicy.

Magia Krakowa w moim odczuciu jest podzielona na dwa obszary; ten oczywisty związany z architekturą i wysoką kulturą – typową dla naszego miasta i ten prywatny, składający się z drobnych elementów kolekcjonowanych i zapamiętanych w ciągu kilkudziesięciu lat mojego życia i zamieszkiwania w Krakowie. Do tych pierwszych oprócz Rynku i Wawelu należą np.: Planty, stary budynek mojej uczelni, czyli gmach dawnego schroniska dla chłopców Fundacji Aleksandra Lubomirskiego przy ul. Rakowickiej 27 oraz malowniczy zalew na Zakrzówku. Natomiast do tych prywatnych zaliczam zielone okolice mojego rodzinnego osiedla przy ul. Żywieckiej; niektóre miejsca w podgórskim Parku Bednarskiego, w pobliżu którego było moje liceum; fascynujące widoki na miasto z lotu ptaka oraz pewną ławkę na bulwarach wiślanych.

Historia brylantowego pierścionka

Trzy kobiety, trzy siostry, trzy damy. Moje ciotce. Dwie z nich pozostały tajemnicą przefiltrowaną nieco przez rodzinne opowieści. Trzecia – Janeczka – towarzyszyła mi przez całe dzieciństwo i młodość. Spotkania z nią były świętem. Czeakałam niecierpliwie na jej przybycie. Siadając przy stole, zajmowałam zawsze miejsce przy niej i wtedy ożywała magia wspólnych chwil.

Była bezdzietna, lecz dzieci kochała czule. Jej fiołkowe oczy patrzyły ciepło, kiedy gładziła mnie po płowych włosach, szepcząc cichutko do ucha:

– Moja ty Izabelko.

Snuła niezwykle opowieści o czasach minionych. Z perspektywy swojej dojrzałości widzę ją odrealnioną w czasach siermiężnej komuny; kobietę porzuconą przez męża, której przyszło wieść samotne życie. Była niezwykła, eteryczna, ubrana pastelowo, najczęściej w błękity. Całą otaczała jakaś błękitna aura. Wyglądała zjawiskowo. Wypielęgowane piękne dłonie ozdabiał jedyny pierścionek z brylantem. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Kiedy przy okazji rodzinnych spotkań wypijała maleńki kieliszek nalewki, jej oczy zaczynały lśnić szczególnym blaskiem, policzki uroczo różowiały, na ustach wykwitał tajemniczy uśmiech.

Już wiedziałam, że zaraz nastąpi magiczny moment, kiedy ciocia czystym sopranem zaintonuje:

– Złoty pierścionek, złoty pierścionek kataryniarza jedyny. Złoty pierścionek z błękitnym oczkiem na szczęście każdej dziewczyny.

Złoty pierścionelek... Nigdy nie dowiedziałam się, skąd pochodził, ani jaką skrywał tajemnicę.

Ciocie otaczały cenne przedmioty: obrazy, chińska waza, bawarska porcelana, którą podarowała mi z okazji ślubu. Nic jednak nie zapadło mi w pamięć tak głęboko, jak ów brylantowy pierścionelek. Meandry dziecięcej wyobraźni połączyły pięknego męża cioci, od którego zapewne dostała go z katarzyniarzem i jego złotym pierścionkiem z błękitnym oczkiem dającym szczęście dziewczynie.

Po śmierci cioci pierścionelek przepadł. Znalazłam go kiedyś na palcu innej kobiety. Wywołał nostalgię, lecz ciocia z szelmowskim uśmiechem położyła palec na ustach, dając mi do zrozumienia, że niech już tak pozostanie. Dziś przypominają o niej patrzące na mnie z portretu fiołkowe oczy tej trzeciej, staromodnie uczesanej z różami rozkwitłymi przy dekolcie sukni. Niedysiejszej pani w podkrakowskim dworku.

A może wagary?

Mnie zupełnie nie pociągały, przecież opłacało się być na lekcjach, żeby potem mieć mało nauki i dużo wolnego czasu na swoje pasje. Ale jednak zawagarowałam, kiedy moja starsza siostra zdawała pisemną maturę z matematyki. Wiedziałam, że będzie ciężko. Ponieważ jej chłopiec, kolega z tej samej klasy, był matematycznym geniuszem, umówiłam się z nim, że poda mi rozwiązane zadania, a ja przekażę je siostrze. Czekałam w męskiej toalecie, gdzie wkrótce pojawił się nie on, lecz dyro! Zobaczył mnie i wykrzyknął:

– O, panna Bożenka! Zawieszam cię w prawach ucznia.

Mama jak dowiedziała się o tym dramacie, zaraz poszła do dyrektora i jakoś mnie usprawiedliwiła. Miałam nazajutrz pojawić się w jego gabinecie. Szłam na miękkich nogach, ale dyro niewiele mnie ganiąc zakończył orację:

– *Quddid agis prudenter agas et respice finem.*

Zapamiętałam tę maksymę („Cokolwiek czynisz, czynź roztropnie i patrz na koniec”) i staram się ją przestrzegać.

Na studiach ucieczki z nudnych zajęć były codziennością. Najlepsze były wieczorową porą – do kina, na spotkania, prywatki. Kiedyś mój chłopak czekał na mnie po zajęciach i okazało się, że mnie na nich nie było. Musiałam coś kręcić, wymyślać, czego nie lubię nie dlatego, że to grzech, lecz dlatego, że kłamstwa obciążają pamięć. I tak skończyły się te miłe wagarzy.

Końcową godzinę pracy często zarywałam i pisanie opinii brałam do domu. Spieszyłam się do mojego cudownego labradora, naszych spacerów, maratonów, sztuczek. Nie potrzebowałam diety i profesjonalnych ćwiczeń. Tylko zdrowo i wesoło. Ale odszedł. Nie przypuszczałam, że tak bardzo będzie bolało. I praca odeszła też...

Teraz sama układam swoje dni, tak aby to, czemu poświęcam czas, było pożyteczne i przyjemne. Czasem uciekam od zajęć w kuchni, dając komu innemu szansę na tak dziś modną kulinarną twórczość.

Moja Polska – jaka jest?

Dla mnie łaskawa. Dopiero ta Polska pozwoliła nam na kupno fajnego, wygodnego mieszkania. Razem z mężczyzną życia nie przeżyliśmy syndromu opuszczonego gniazda, gdy syn się usamodzielił, bo nowym domownikiem stał się cudowny labrador – piękny, mądry, przyjazny, wulkan radości i przywiązania. Wyrosły i wypiękniały drzewa-kwiaty, ozdoba mojego gniazdka. Tworzą mini oranżerię na tle bujnej zieleni i kwitnących krzewów tych, co rosną za oknami mieszkania. Ta okalająca nas zieleń uspokaja, cieszy i wprost uszczęśliwia. Są jeszcze obok sąsiedzi, taktowni, życzliwi, w potrzebie zawsze można na nich liczyć.

To wszystko, za co można pochwalić Moją Polskę, moje miejsce na ziemi? Nie, przecież widzę jak nasza Polska zmienia się, rozwija, pięknieje, robi się bardziej wygodna. Ile dróg, obiektów kulturalnych, biznesowych czy sportowych. Że są braki, że tam gdzie nas nie ma, jest lepiej, no i o tyle wyższe zarobki? Już nie pamiętamy, jakie straty ponieśliśmy w czasie wojny, przez ile lat niszczyła nas komunistyczna gospodarka i polityka? Tam na Zachodzie tego nie było. My chcemy mieć to samo co oni, szybko i zaraz. Może więcej cierpliwości, umiaru, rozsądku. A przede wszystkim mniej agresji, nienawiści, awantur. Zgoda buduje, więc szukajmy wspólnych idei, poglądów, nie eliminując krytyki – tej konstruktywnej.

Moja Polska to miejsce na mapie, gdzie żyję tu i teraz. Trzeba chwalić i dziękować, bo dopiero ta Polska podjęła ofensywne starania o polepszenie fizycznej i umysłowej kondycji seniorów. Inicjatywy Akademii Pełni Życia, Stowarzyszenia Willa Decjusza, Kina pod Baranami, MCK, muzeów, licznych klubów zmieniają nasze dni, dają szansę na aktywne, ciekawe i przyjemne życie.

Dziękuję Ci, Polsko! Masz wady, robisz błędy, ale jesteś Moja! I chcesz być lepsza! Spróbujmy odrzucić złe nastawienia i emocje, pójść słoneczną stroną życia, życzliwie myśląc o naszej Polsce!

Spotkanie z... ukochaną drużyną piłkarską

Na meczu Cracovii z Ruchem, obok łoży VIP-ów, kłębił się tłum kiboli wykrzykujących niecenzuralne słowa pod adresem prezesa Filipiaka:

– Co pan sobie myślisz, przecież ten czarnuch Saidi umie tylko dryblować, a strzelać do bramki to mu się zdarza raz na sto oddanych strzałów. Wyrzuć pan tego pacana, a sprowadź Messiego. Przecież cię na to stać!

Rozbrykany szkrab w piaskownicy sektora rodzinnego pyta mamę:

– Co tam robią ci panowie, czy muszą tak gonić wszyscy za jedną piłką?

Dwójka chuliganów, stojąc tyłem do boiska i popijając piwo, cały czas rzuca mięsem. Trudno normalnej publiczności w takich warunkach oglądać spokojnie mecz.

– Ręka w polu karnym! – zakrzyknął podekscytowany napity staruszek.

– Karny się należy!

Sędzia nie reaguje, gra toczy się dalej.

– Ile żeś wziął za takie sędziowanie, głąbie?

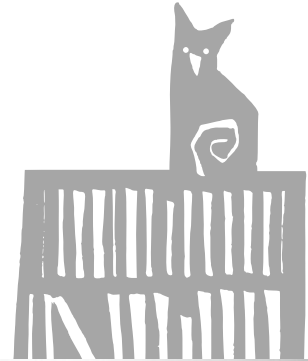
Cracovia pod wodzą niesławnej pamięci Stawowego wciąż podaje piłkę do tyłu, pod własną bramkę. Wielce zdziwieni obrońcy Cracovii coraz to obserwują piłkę trzepocącą w siatce własnej bramki. Nagle wybuch kilkunastu kolorowych rac na środku murawy. Gęsta mgła uniemożliwia widzenie, zmuszając sędziego do przerwania gry. Kibice płaczą z wściekłości: – 88. minuta i przegrywamy 2:0. Trzeba będzie po meczu zlinczować naszych.

90. minuta: Pawlusiński szczupakiem zdobywa pięknego gola. W doliczonym czasie gry Nowak trafia z *volley'a* strzałem nie do obrony! 93. i ostatnia minuta: bomba Budzińskiego ze środka boiska, prosto w samo światło bramki!

– VICTORIA! – wyje rozentuzjasmowany tłum i rzuca się na murawę, podrzucając graczy w górę w stanie dzikiej euforii! Rozdają po kwiatku dla każdego z piłkarzy, gratulując cudownego meczu i płacząc ze szczęścia!

Ekstraklasa uratowana!



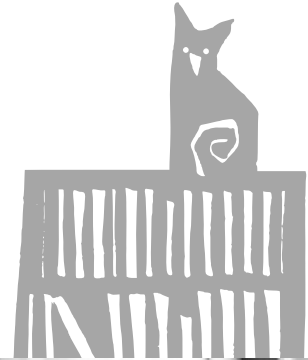


Saga

„SAGA - warsztaty kreatywności” to projekt służący edukacji, aktywizacji i integracji osób starszych poprzez literaturę, którego inicjatorem i operatorem jest od 2012 roku Stowarzyszenie Willa Decjusza w Krakowie. Podstawowym komponentem projektu są warsztaty kreatywnego pisania prowadzone przez doświadczonych pisarzy i dziennikarzy adresowane do seniorów zainteresowanych rozwojem swojego literackiego warsztatu.

W 2014 roku warsztaty kreatywnego pisania prowadzili Katarzyna Kubisiowska i Michał Olszewski. W ramach projektu odbywały się również spacer literackie szlakiem znanych krakowskich pisarzy i bohaterów literackich, a także inicjowany przez uczestników projektu udział w wydarzeniach kulturalnych w Krakowie. W czasie otwartych dla publiczności spotkań Salonu Literackiego uczestnicy SAGI mieli okazję porozmawiać ze znanymi pisarzami i dziennikarzami. W 2014 roku zaproszenie do udziału w Salonach przyjęli: Dorota Masłowska, Wojciech Jagielski, ks. Adam Boniecki, Sylwia Frołow, Bartłomiej Dobroch, Przemysław Wilczyński i in.

Dokumentacja dotychczasowych edycji projektu obejmująca teksty osób uczestniczących, informacje, aktualności i zdjęcia znajduje się na stronie internetowej www.saga.villa.org.pl.



Spis treści:

od redakcji 5

PRACE KONKURSOWE

Antonina Sebesta

Kłopot z demokracją, kłopot z edukacją... 9

Krzysztof Piekarski

Karol senior, Karol junior... 13

Jędrzej Wojtakowski

Moja Polska 17

Konrad Zbrożek

Gdzie ja żyję? 21

Lucyna Drelinkiewicz

Jutro będzie ładny dzień..... 23

Zdzisław J. Przybyło

Moja trochę inna Polska... 27

Anna Marek

Józefa sny... 31

Anna Nowińska

Procesja ku czci św. Stanisława..... 35

Anna Okrzesik

Moja Polska jest kobietą... 39

Antoni Niedziałkowski

Taka jest moja Polska... 43

Andrzej Mitura

Moja Polska to tradycja, doświadczenie i teraźniejszość... 47

Jadwiga Zgorzelska

Czerwone goździki... 51

LITERACKIE ROZMAITOŚCI

Mariola Wójtowicz

Rupek – egzystencja bez napędu. Życie bez Dępana... 57

Elżbieta Świerczyńska

8 zdań na dobranoc... 59

Elżbieta Boroń	
Film, który mnie zachwycił.....	61
Ewa Zdziejowska	
Kraków bez makijażu.....	63
Ewa Zdziejowska	
Irina Palm – tytułowa bohaterka.....	64
Jolanta Mirecka	
Cyganie.....	67
Jolanta Mirecka	
Najlepszy? Najgorszy? – moje życie z serialami.....	69
Barbara Kozubek-Marczyk	
Dziennik – fragment przedstawiony w 20 zdaniach.....	71
Barbara Kozubek-Marczyk	
Mój pokój.....	72
Barbara Waksmańska	
Wspomnienie z dzieciństwa.....	73
Barbara Waksmańska	
Z cyklu szczęście: osobnik permanentnie z siebie zadowolony musi być szczęśliwy, nieprawdaż?.....	73
Marek Walawender	
Typ S.....	75
Bożena Gutowska	
O niewytłumaczalnym.....	77
Bożena Gutowska	
„Chachalnia koło Krotoszyna” i „koryto to samo, tylko świnie się zmieniają”.....	78
Danuta Czerny-Sikora	
Co nagle to po diable.....	79
Danuta Czerny-Sikora	
Prezent.....	80
Urszula Jaksik	
Dwadzieścia dziewięć guzików.....	81
Alfreda Kosiorowska	
Saga.....	83
Alfreda Kosiorowska	
Ten kraj jest jak.....	84
Anna Kołodziejczyk	
Raz jeden w Cichym Zakątku.....	85

Anna Kołodziejczyk	
[bez tytułu]	86
Krystyna Pieniążek...	
Zjawiska paranormalne i nadprzyrodzone w moim doświadczeniu	89
Krystyna Pieniążek	
Myśli mężczyzny po przebudzeniu	90
Krystyna Wolska...	
Ulubione buty	91
Krystyna Kornacka	
Jak Matyjaszek poznał historię kopalni Guido – przypowieść bajkowa	93
Danuta Glonek	
Zgniłocha	97
Danuta Glonek	
PKP – a konieczność fizjologiczna	98
Tadeusz Starzyk	
Bohaterowie codzienności według seniorów z Krakowa i okolicy	99
Jadwiga Goraj	
Starość zaczyna się	101
Poetyckie impresje	101
Na plaży	102
W drodze do Grecji	102
Małgorzata Szreniawa-Gut	
Wagary	103
Podróże małe i duże – wspomnienia	103
Anna Pawlus	
Moje wymarzone niespełnione wakacje	105
Romana Cieśla	
Magiczny Kraków	107
Izabella Bocińska	
Historia brylantowego pierścionka	109
Bożena Bertman	
A może wagary?	111
Bożena Bertman	
Moja Polska – jaka jest?	112
Ewa Gabryś	
Spotkanie z... ukochaną drużyną piłkarską	113





FORUM DIALOGU KULTUR
Projekt współfinansowany
ze środków
Gminy Miejskiej Kraków

Wydawca



Fundator

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowane ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy



korporacja halart



Wiem, co Dobre
WYDAWNICTWO LITERACKIE



Patroni Medialni



WWW.KRAKOW.PL

Kulturatka.pl



wKrakowie.pl



Copyright © for texts by Authors, 2014
Copyright © for his edition by Stowarzyszenie Willa Decjusza, 2014

Redakcja: Magda Jasińska, Marcin Dyrz
Współpraca redakcyjna i korekta: Urszula Ciesielska-Chmielewska, Elżbieta Zając

Fotografie: Piotr Żebrowski, Paweł Mazur

Opracowanie graficzne: Pio Kaliński, Mariusz Rutkowski

Druk: drukarnia Pasaż

Nakład: 200 egz.

ISBN: 978-83-61600-92-3

Ta książka pokazuje, że każdy ma do opowiedzenia swoją historię. Trzeba tylko znaleźć dla niej formę. Uczestnicy „Sagi” udowodnili, że do pisania potrzebna jest wrażliwość, doświadczenie i warsztat szlifowany dzień w dzień. Na przecięciu tych trzech wektorów rodzi się autorski styl. Ale w przypadku „Sagi” nie chodzi tylko o talent do pisania. Rzecz dotyczy czegoś można nawet istotniejszego – talentu do życia. Zmysłu obserwacyjnego, dystansu, odwagi w nazywaniu rzeczy po imieniu, poczucia humoru. W każdym z osobna Sagowiczu to właśnie podziwiam.

Katarzyna Kubisiowska

Czytajcie autorów SAGI! Noszą w sobie niesamowite historie, nie piszą z przymusu, a co najważniejsze – kochają literaturę.

Michał Olszewski



ISBN: 978-83-61600-92-3
www.saga.villa.org.pl